

P 5096 / 2, 1925

Bolesław 1924

ROK II

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

Nr. 18 (27)

WIEŚNIADA LITERACKA



WARSZAWA, 24 MAJA 1925 R.

CENA NUMERU 1 ZŁOTY



RZECZPOSPOLITA

DOSKONAŁE ŹRÓDŁO INFORMACYJ POLITYCZNYCH
WYJĄTKOWO OBSZERNY DZIAŁ GOSPODARCZY
CIEKAWY WIADOMOŚCI Z CAŁEGO ŚWIATA

WYCHODZI:

w WARSZAWIE, KRAKOWIE, LWOWIE, POZNANIU i WILNIE.

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE

„ECHO WARSZAWSKIE”

NAJPOCZYTNIEJSZY ORGAN STOLICY

Adres Redakcji:
ul. Hortensja 6.
Telefony: 111-70, 111-71

Adres Administracji:
ul. Boduena nr. 4.
Telefony: 228-46, 77-31.

24. /

BIESIADA LITERACKA

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 50. TEL. 291-60

Warszawa

24 maja 1925

Rok II № 18 (27)



ŁOWICZANKA

ST. MASŁOWSKI.

Ku 42/81/4
24.2/

Do Wielce Szanownych Prenumeratorów „Biesiady Literackiej”

„Biesiada Literacka“, jako pismo apolityczne, nie należące do żadnej partji, byt swój opiera li tylko na opłacie prenumeracyjnej. Tymczasem opłata ta wpływa nader powoli, przez co tworzą się **znaczne zaległości**.

A za papier, druk, klisze, honorarja autorskie i t. p., płacić musimy zaraz, gotówką.

Wobec tego zwracamy się do Wielce Szanownych Prenumeratorów z prośbą o łaskawe, **możebnie spieszne wyrównanie tych zaległości, zarówno za I, jak i za II kwartał.**

W tym celu do numeru niniejszego, do wszystkich egzemplarzy, dołączamy przekazy P. K. O., prosząc o wpłacenie należnej nam prenumeraty na konto № 7494, lub też bezpośrednio do administracji, Nowy Świat 50.

DOBRO CZYNNY TERROR

Młode pokolenie powinno cieszyć się w swej młodości i czasach szkolnych, by później wielbić je jako najszcześniejsze czasy życia, nie zaś oskarżać...

Ruskin

Młodzież polska porwała się w 1905 roku do walki o szkołę narodową z wielkim zapałem. Młodzież ta bez różnicy wieku porzuciła gremjalnie, nie bacząc na przyszłość, rządową czyli państwową szkołę rosyjską. Porzuciła ją w tem przekonaniu, że jest szkołą złą. Zażądano szkoły polskiej z ducha, bo to był ideał *dobrej* szkoły.

Pamiętamy wszyscy te niezapomniane chwile *zbratania* młodzieży z nauczycielami w prywatnej szkole polskiej. Na gruncie szkoły wytworzyło się wówczas piękne a tak pożądane współdziałanie. Zjawił się jakiś nowy duch przyjaźni i wspólnoty. Zapewne, spowodowany został przez ów nastrój chwili, który wówczas wisiał w powietrzu. Ale możliwy był też i dzięki temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że szkoła polska grupowała doborowy personel nauczycieli z powołania. Mieli oni poczucie odpowiedzialności moralnej za losy wychowywanej młodzieży.

Gdy po latach kilkunastu Polska odzyskała byt państwowy, spodziewać się należało, że szkoła nasza stanie się w państwie niepodległym, jeśli nie idealna, to doskonała.

Rzeczywistość rozwiła wszakże te złudzenia. Opiekę nad oświatą i nad szkolnictwem objęło własne państwo.

A jednak — czy jest lepiej? Czy jest bodaj tak, jak było w owym pamiętnym okresie po 1905 roku?

Piątoklasista gimnazjum rosyjskiego pisał ongi

po polsku lepiej, niż dziś maturzysta. Odczytanie w zakresie literatury ojczyźnej dzisiejszej młodzieży szkół wyższych jest bez porównania mniejsze. A przecież na przeciążenie programów szkolnych narzekają wszyscy. Egzaminy maturalne są bardzo uciążliwe. Przed dwoma laty odbiła się głośnym echem w społeczeństwie działalność niezwykle surowa Komisji egzaminacyjnych.

Teraz znów kraj został wstrząśnięty tragedją wileńską. Podczas egzaminu padły strzały, uczniowie rzucili bomby. Są ranni i zabici. Do dziejów szkolnictwa przybyła nowa, niezwykła karta.

Kto winien? Młodzież? Może.

Ale przecie w tym samym czasie zdarza się taki oto fakt: „uczeń, odznaczony przez wojewodę medalem 3 maja za sprawność fizyczną, dnia następnego został wydalony z gimnazjum państwowego im. Zamoyskiego w Lublinie, gdyż jak motywował dyrektor — „w gimnazjum niema miejsca dla sportowców“.

W jednym z najpoważniejszych gimnazjów żeńskich państwowych w Warszawie panują stosunki pełne protekcyjizmu i tak wysoce niepedagogiczne, a nawet wogóle niewłaściwe i niemożliwe, że nawet Apuchtin w grobie się przewraca.

W IV gimnazjum krakowskim uczeń klasy piątej dnia 11 maja postrzelił się w szkole z obawy nie przejścia do klasy następnej.

Nie! Coś się popsuło w państwie duńskim.

Stosunek do młodzieży jest nienormalny. Przez cały świat przeszła wichura wojenna. Zmieniła stosunki polityczne, społeczne. Zmienia stosunki obyczajowe. Wytwarza się po wojnie inny świat.

Wszędzie zauważa się w dziedzinie szkolnictwa nowe prądy. Znika ten — jak go sarkastycznie nazywał A. Dygasiński — dobroczynny terror wychowania. Owo zbratanie, które przed wojną na terenie szkolnictwa prywatnego wytryskało samorzutnie z pobudzenia ducha narodowego, dziś staje się postulatem pedagogiki praktycznej.

Chcąc uczyć i wychowywać, trzeba rozumieć duszę dziecka i młodzieńca. Trzeba mu pomagać i współczuć z nim.

Młodzież dzisiejsza żyje i wychowuje się w atmosferze powojennej. Ale młodzież jest daleko wrażliwsza, pobudliwsza niż dorośli. Szybciej reaguje, i szybciej wchłania różne wpływy. Personel nauczycielski należy naogół do ludzi dnia wczorajszego, a może nawet i przedwczorajszego. Stąd ten rozdźwięk. Nie pomogą żadne programy, ani okólniki ministerjalne. To jest papier. Najwyżej pójdzie na makulaturę. Bo trzeba „z żywymi naprzód iść“. Należy kochać młodzież, starać się ją rozumieć i ułatwiać, nie zaś utrudniać jej życie. Młodzież to przyszłość narodu. Przyszłość Polski. Kraj potrzebuje ludzi. I to dzielnych ludzi. Nie wyjąłowych obkuwaniem głupste-

wek, które się w parę dni po egzaminach zapomina. Kraj potrzebuje, dobrze do życia praktycznego przygotowanej, inteligencji. Szkoła zaś obecna dostarcza niedouczków ze zwicniętym przez egzamina systemem nerwowym.

Bomby wileńskie i strzały krakowskie, to zjawiska charakterystyczne. Co więcej, są one symptomatyczne. Są to pierwsze sygnały grożącego niebezpieczeństwa.

Belgja czy Danja grają rolę nie z powodu ilości bagnatów, lecz dzięki energii potencjalnej swej kultury. Danja odrodziła się właśnie przez wychowanie swej młodzieży. Idee Grundtwiga, wychowawcy narodu duńskiego, wywarły wpływ i na szkolnictwo. Zrozumiano, że to ogólne wykształcenie, jakie daje szkoła średnia nie jest zgoła ani ogólne, ani naukowe, lecz „uczone“ prowadzące do... urzędu. A takie wykształcenie jest bezduszne. W takim systemie wychowawczym szkoła staje się terenem przedwstępnej rywalizacji o — przyszły urząd. Taka szkoła przygotowuje, a uniwersytet preparuje różnych specjalistów, przeważnie urzędników najróżnorodniejszych machiny państwowej. Ale czy takie wykształcenie stworzy kulturę narodową, albo choćby zasadnicze wartości kulturalne niezbędne w życiu dzisiejszego człowieka wykształconego?

Ten dobroczynny terror nad młodzieżą stosowa-



TANIEC GÓRALSKI

STANISŁAW KACZOR-BATOWSKI

ny w naszym szkolnictwie odślania jedną z najgroźniejszych chorób.

Oto szkoła polska w odrodzonym państwie nie umie sprostać wymogom życia. Gorzej: ona wymogów tych nie rozumie. Zrozumieć nie chce. Lecz życie daje ostrzeżenia. Wprawdzie są one tragiczne. Ale właśnie dlatego tembardziej i tem szybciej należy zabrać się do gruntownej reformy.

Władysław Wolert.

WŁODZIMIERZ WYGANOWSKI

W I E M...

Wiem, że hen, gdzieś poza mną, w oceanie bytu
Jest świat inny, precudny swą nieziemską treścią
I, choć niby otkany alegorją mitu,
Najwyraźniej odczuty tęsknoty boleścią.

W ciche noce, gdy burza w chorem sercu zaśnie,
Tęsknię za tym dalekim i nieznanym światem,
Czytam w duszy swej o nim jakieś cudne baśnie
I ulatam ku niemu marzeniem skrzydlatem.

Jednak wiem, że sny moje są jeszcze za blade
I za niskie są marzeń ponadgwiazdnych wzloty,
Aby mogły wyśpiewać, odtworzyć balladę,
Która srebrzy się w głębiach palącej tęsknoty.

We wspomnieniach coś niknie, płacze się, rozpada...
Rozsypane, podarte wielkiej księgi karty...
Więc nie może się złożyć z bladych snów ballada —
Obraz cały, gdzieś dawno w pamięci zatarty.

W dawno, dawno przebrzmiałych już wieków bezdeni
Coś umarło dla wspomnień..., a więc dziś z uporem
Bieży myśl za swą zgubą — w bezkresy przestrzeni,
Błądząc między gwiazdami krwawym meteorem.

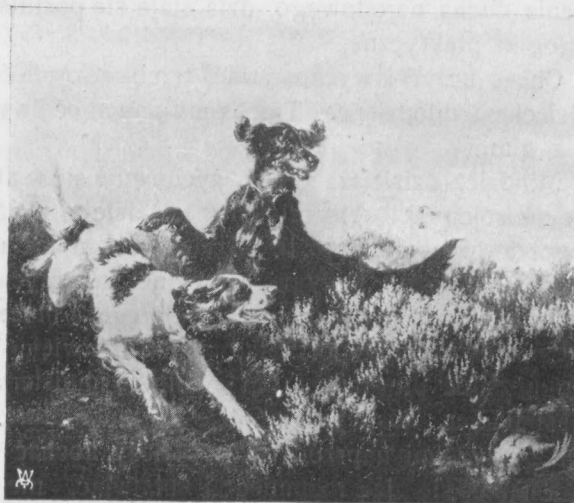
Tam, w koronie słońc złotych lśni mój świat wyśniony,
Tam ktoś wierny mi bardzo, bliski bardzo czeka,
Czeka, modląc się za mnie słowem antyfony,
I krzepiącą moc zsyła — na trudy — zdaleka...

W ciche noce, gdy burze ulegną w mem sercu,
Wzrokiem duszy spoglądam w słoneczne zaświaty
I śród komet po gwiazdnym szybko mknę kobiercu...
Dookoła olbrzymich słońc się krwawią kwiaty,

Dookoła tytany potężne koliska
Zataczają i płyną i pienią się lawą.
Grzmot straszny trzaska, błyskawica błyska
I żre sama siebie swoją paszczą krwawą — — —

Jednak wiem, że te piekła duszy mej nie spala,
Bo przez ognie już przeszła w nieskończonej męce,
Idąc zawsze za tęsknot nieprzerwaną falą,
Wyciągając zmęczone do snów złotych ręce.

I choć może w tym locie ona sama siebie
Prędzej dopędzi, niż sny zgaśnię zbierze,
Wszakże będzie się modlić bliżej Boga — w niebie,
Gdzie się schodzą i łączą wszechrzeczy rubieże.



NA ŁOWACH

H. LEON



TANCERKA

MARTIN KAVEL

JAK BYĆ MOGŁO

NIEURZECZYWISTNIONA OPOWIEŚĆ LOTNICZA

Nie śmiała jednak otworzyć oczu, nie śmiała pytać, nie śmiała nawet ruszyć się z miejsca, bo doznawała wrażenia, że niech tylko się ruszy, niech tylko zawoła, to stanie się coś, z czego nie zdawała sobie sprawy, a co umysł jej uzmysławiał sobie pod postacią przepaści bezdennej, w którą lecą razem z mężem, jak we śnie męczącym, bez końca, bez końca, czekała zatem, jak zbawienia, głosu mężowskiego. Ale Żarski milczał. Trzymając w dłoni rączkę lewara od śmigłownicy, nasłuchiwał z całym napięciem umysłu, czy motor działa prawidłowo, czy w śmigłach, unoszących cały ciężar helikoptera w przestwór, nie odezwie się szmer podejrzany. I jego przejmowało w tej chwili krytycznej wzruszenie głębokie, ale wzruszenie to nie miało podkładu uczuciowego. Obawy te były troską technika, wynalazcy który z niepokojem bada, czy dzieło, które stworzył, odpowie w zupełności temu, czego się spodziewał. Jednocześnie zaś, przechyliwszy głowę ku szybie śledził postęp wzlotu. Gdy helikopter wzbił się w górę, oczom Żarskiego ukazały się najpierw latarnie ulicy Wolnej, następnie ulic sąsiednich, poczem stopniowo zaczęły wyłaniać się coraz dalsze szeregi światełek i wreszcie całe miasto rozpostarło się nieregularną siatką świetlaną u stóp jego. Stopniowo jednak i ta siatka zdawała się uciekać przed nim coraz bardziej w głąb i w tył. Już za-

ledwie ją widział, już zaledwie migotała i nagle, jakby zasłonięta pokrywą, znikła. Zrozumiał to zjawisko. „Polonia“ pogrążyła się w chmury. Nieostrzeżona, potężna, wymknęła się z rąk nieprzyjaciela. Poczucie tego, jak również sprawność maszyny, sprawiło mu ulgę niezmierną. Westchnął, jakgdyby spadł mu z bark ciężar nieznośny i nacisnął kurek lampki nad tarczami liczników i busoli.

Pod wpływem światła, Żarska drgnęła, otworzyła oczy i ujrzała twarz męża nachyloną nad busolą. Na widok tej twarzy ukochanej, spokojnej i poważnej obawy jej pierzchyły, wzruszenie ustało. Nagle jednak Żarski wyprostował się a oczy jego rozszerzyły się nadmiernie.

— Plany moje! — zawołał z rozpaczą w głosie, gdyż dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że przygotowane do zabrania plany i obliczenia, tyżące się „Polonji“, zostawił w domu na biurku.

Żarska pojęła myśl męża, i uśmiechnęła się więc radośnie i położyła rękę na jego ramieniu.

— Wszystkie plany — rzekła — rachunki, pieniądze, słowem wszystko, co było w biurku, jest tu, w walizce. Patrz.

Przy tych słowach sięgnęła za siebie do wgłębienia nad oparciem, zdjęła walizkę i wyjęła z niej plikę papierów.

Żarski pochwycił je uradowany i przejrzał.

— Dziękuję ci, dziękuję jedyna — powtarzał —



UCHODŹCY

FERDYNAND RUSZCZYC

o to obawiałem się najbardziej i byłaby się stała rzecz straszna, gdyby nie moja pani przezorna.

W kajucie, mknącej wśród chmur zapanował nastrój serdeczny.

— To nie skrupulatność — zawołał po chwili Żarski, przeglądając jeszcze zawartość walizki — nawet o dziennikach dzisiejszych pani moja nie zapomniła.

— Prawda, — odparła zdziwiona Żarska — nawet nie zauważyłam, że leżały także na biurku.

Żarski rzucił papiery do walizki i spojrzał na żonę.

— Jesteś bardzo wzruszona tą podróżą nad obłokami? — spytał.

— Byłam — odpowiedziała — rumieniąc się lekko pod wpływem tego wyznania i ujmując go za rękę — ale teraz, gdy widzę cię tak pewnym siebie, jestem spokojna zupełnie.

Żarski przycisnął do ust rączkę żoniny.

— Prawda, Marychno — rzekł — jak ta nasza „Polonia“ cicho i spokojnie pruje przestwory. Zdawałoby się, że stoimy w miejscu.

— Chciałeś powiedzieć: twoja „Polonia“?

— Nie, nie. Powiedziałem i powtarzam: nasza „Polonia“, bo ta nazwa symboliczna przypomni światu i rozgłosi tak twoją, jak i moją ojczyznę, bo tryumf mej pracy zawdzięczam twojej duszy, bo chcę zwyciężyć albo zginąć — choć może jest to wstrętne samolubstwo — razem, tylko razem z tobą...

— Za dużo — przerwała Żarska — przypisujesz mi zasługi w tym wielkim wynalazku, a przytem po co oskarżać się o samolubstwo, skoro wiesz, że twoja zguba byłaby moją zgubą, a twój tryumf — dla mnie zaszczytem?

Żarskiemu zabrakło słów na odpowiedź. Wzruszony, uścisnął rączkę, spoczywającą w jego dłoni i w kajucie zapanowała długa cisza, przerywana tylko jednostajnym szumem powietrza, ocierającego się o kadłub „Polonji“ i westchnieniami Mitki, drzemiącej pomiędzy panem a panią swoją tak spokojnie i bezpiecznie, jak w domu na otomanie, pod zegarem.

— Co za widok cudowny — szepnęła nagle Żarska, jakby w obawie spłoszenia tego uczucia szczęścia, które przepelniało ich serca i przechyliła się ku oknu.

Na ciemno-granatowych, czystych niebiosach błyszczał sierp księżyca, oświetlając zlekka blaskiem srebrzystym ogromne fale, toczącego się pod „Polonią“ morza obłoków. Kłębiły się i przewalały to ogromnie ciche i groźne, to rzucając cienie fantastyczne, to rozsuwając się w równą gładką

płaszczynę opalową, to znów rzucając się kłębami jedna na drugie, jakby w gwałtownym pośpiechu, gniewie, czy przestachu.

— Doprawdy — szeptała oczarowana tem widwiskiem potężnem — zdawałoby się, że osiedliśmy na tem morzu i stoimy, a ono pędzi przeciwko nam i zalewa.

— Zwykle złudzenie — odparł Żarski. — „Polonia“ pędzi wprost na zachód z szybkością 180 kilometrów na godzinę, chmury zaś, które widzisz w dole, dążą z zachodu na wschód, to jest przeciwko nam, a choć dążą leniwie, to jednak ich szybkość dodana do naszego pędu wywołuje złudzenie, że pędzą z gwałtownością huraganu, a my stoimy na miejscu, nie czujemy bowiem w tej szczelnej kajucie pędu powietrza, ocierającego się o samolot.

— A jak długo — spytała po chwili — lecieć możemy tak bez przerwy z tą szybkością?

— Według moich obliczeń — odparł — starczy nam energii na dwadzieścia godzin.

(D. c. n.)



ZAPOROŻEC

JÓZEF BRANDT

EDMUND JEZERSKI

CARAT a SOWIETY

(SZKIC HISTORYCZNY)

I

Obserwując bacznie przebieg rewolucji sowieckiej w Rosji zauważymy z łatwością, że szerokie masy ludowe, zwłaszcza włościańskie, odnoszą się do niej zupełnie biernie, że nigdzie prawie niema spontanicznego, żywiołowego wybuchu w obronie tak umiłowanego, na pozór, caratu, że jeżeli gdziekolwiek wybuchną jakieś rozruchy, to li tylko wtedy, gdy sowieci zbyt bezceremonjalnie zabiorą się do spraw religijnych włościanina rosyjskiego, lub też gdy ucisk gospodarczy przybierze zbyt jaskrawą i gwałtowną formę... Zresztą pozatem wszystko jest mu obojętne... Był car, niema cara, są sowieci i komisarze, wszystko jedno, naplewat'...

Wytłomaczenie tej zagadki psychologicznej, tej dziwnej obojętności i apatii ludu rosyjskiego, apatii nawet wobec dziesiątków tysięcy ofiar, mordowanych w lochach niezwykle, szukać należy w odwiecznej niewoli, w odwiecznym ucisku, w jakim się znajdował, a który wrósł mu w duszę, który uczynił go obojętnym na zmianę pana, gdyż system zawsze pozostawał ten sam.

Terrorem sprawowali swą władzę wielcy książęta i carowie moskiewscy, terror uprawiają również i Sowiety. Cóż zatem za różnica?...

Tradycje niewoli tatarskiej były nader żywo kultywowane przez carat, wschodnie poddanie się przeznaczeniu, „nieprzeciwianie się złu“, tak wrosło w psychologię ludu, że wykorzenienie jej obecnie byłoby bardzo trudne, zarówno jak i okrucieństwo, jakie przejęli od przodków swoich w okresie nader długotrwałej niewoli.

Rosja, której powierzchowną kulturę narzucił car Piotr I i jego następcy, w rzeczywistości pozostała tą samą, średniowieczną, pełną ciemnoty i przesądów, jaką była za czasów Rurykowiczów i pierwszych Romanowych.

Obecne Sowiety w absolutyzmie swoim w zupełności dorównywują caratowi, ohydna czerwczałka ma swoje poprzedniczki w zupełnie podobnych instytucjach z czasów caratu, szpiegostwo kwitnie tak samo, jak za caratu. Wogóle więc w Rosji nic się nie zmieniło, prócz etykiety. Nawet wpływy żydów są takie same, jak za czasów caratu. I wogóle dziwną byłaby wszelka inna zmiana w państwie, które nigdy demokratyzmem nie było, którego władcy potęgę swą i posłuch wśród mas opierali li tylko na knucie i przemocy.

II

Zaranie dziejów Rosji, podzielonej na mnóstwo małych ksiąstewek, to ustawiczna walka między władcami tychże o władzę, o hegemonję nad innymi. Walka, w której ztracały się wszelkie inne sprawy, przedewsz sikiem państwowe, byle

tylko zadość się stało własnej, wielce wybujałej ambicji i żądzy władzy.

Czasy owe, zresztą podobnie jak i na zachodzie Europy, obfitują w przeróżne obrazy pełne okrucieństwa, morderstw wzajemnych i łupienia ziem podbitych.

Przytem odczuwać się już dawał wielce wpływ sąsiadów wschodnich, stepowców mongolskich, połowców, pieczyngów i innych. Kult siły fizycznej, wyrodzony w brutalność i zamiłowanie do niszczenia, jako dowodu przewagi fizycznej, wziął górę nad innymi.

Pierwiastki kultury bizantyjskiej, zaszczerpionej przez pierwszych książąt kijowskich, stopniowo zanikają, Ruś z końcem XII wieku dziczeje, a niszcicielstwo przybiera rozmiary wprost potworne: palenie i „zsyłki“ pokonanych miast, mordowanie mężczyzn, zabieranie w niewolę kobiet i dzieci z zdobytego miasta i handel niemi — stają się w zupełności zwykłymi rzeczami.

Przemoc książąt, rządzących li tylko przy pomocy siły, staje się zupełnie normalną. Jeden tylko Nowogród W., stanowiący potężny a jedyny łącznik handlowy między Europą Zachodnią a Rusią, przejęty pewnymi ideami demokratycznych miast zachodnich, zwłaszcza hażeatyckich, wyłamał się z pod tej przemocy książąt.

Nawet ks. Mściśław Udały, powołany w roku 1210 do Nowogrodu, który posiadał tam wiele zasług, odnosząc zwycięstwa od Bałtyku po Wołgę, który zdobył dla Nowogrodu ziemi dużo, sam musiał poprzestawać wciąż na roli najemnego kondotiera.



POWRÓT

MIDY

W Nowogrodzie, pod wplywem zachodu, zniesiono już nawet pierwotne równouprawnienie książąt. Ani księciu, ni żonie jego, ni krewnym, ani drużynnikiem, którychby z sobą przywiódł, nie wolno już było posiadać własności ziemskiej na obszarach nowogrodzkich. Władza sama przeszła na „pósadnika“, wybieralnego przez wiec, a od r. 1218 musiał każdy książę nowogrodzki zaprzysiąc nowogrodzkie *habeas corpus*: „bez winy muza ne lisziti“.

Nicość stanowiska książęcego znać z faktu, że po wyjeździe Mściława Udałego, miał Nowogród W. w najbliższych 12 latach (1218 — 1230), książąt dwunastu, przeciętnie co roku nowego.

Wplywy mongolsko-wschodnie umocniły się jeszcze po najściu Tatarów w latach 1224—1240.

Rozdrobnieni książęta ruscy padli z łatwością ofiarą najeźdźców, zorganizowanych, poddanych ślepo woli dżingishana.

Tatarzy, zajmując ziemie ruskie aż do górnego Buga, wszędzie ustanowili swe rządy, zaprowadzając oryginalną administrację. Znaczna większość książąt pozostała na swoich stanowiskach, lecz już w charakterze namiestników kagana Kipczaku, odpowiedzialnych przed nim osobiście za daninę z księstwa. Nad wszystkim zaś książętami wyznaczono jednego na starszego, na hańskiego wielkiego księcia, który odpowiedzialny był za wszystkich innych książąt, jako generalny hański plenipotent i podskarbi. Stanowisko to było nader intratne, to też książęta ruscy prowadzili wzajemnie przeciw sobie przeróżne intrygi na hańskim dworze, ażeby tylko utrzymać się przy „jarłyku“, (kaftan honorowy, oznaczający władzę, na wzór chiński).

Administracja mongolska miała przedewszystkiem na celu skarb i wojsko. To też książę, który najwięcej przysparzał hanowi dochodu, który najgorliwiej obdzierał ze wszystkiego swoich poddanych, mógł być pewnym swego panowania, a wielki książę znów, z kolei rzeczy, ażeby utrzymać się przy władzy, musiał się zmienić w ciemieżyciela innych książąt.

Należy zaznaczyć, iż dopiero system tatarski wprowadził na Ruś po raz pierwszy wogóle administrację państwową i przemienił luźne panowanie książąt w jakieś państwo. Lecz administracja ta oparta była na strasliwym ucisku społeczeństwa, ucisku, zamieniającym każdego poddanego w niewolnika, a trwanie tego systemu przez 3 wieki prawie, wzarło się tak w dusze i pojęcia władców rosyjskich, że mimo wszelkich reform, mimo wszelkich zmian, pozostała prawie że do dnia dzisiejszego, wyraz swój znajdując zarówno w rządach carskich, jak i obecnie, w sowieckich.

Wynikiem tego ucisku książęco-tatarskiego była masowa ucieczka ludności ruskiej na zachód, do księstwa Halickiego, gdzie tworzyła kolonie rusińskie.

Książę halicki Daniel chciał wykorzystać przeciwko Tatarom żywioły niezadowolone z ich władzy, lecz przygotowywane powstanie zawiodło.

Tymczasem potworny twór dżingishana rozpadł się, a wraz z tem upadła i poprzednia jego sprawność bojowa, oraz zniknęła bez śladu uczona biurokracja chińska, trzymająca w karchach karność

dzikie plemiona stepowe. Bezprawie zaczęło panować ogólnie, a wraz z niem dziczeli Tatarzy, dziczała też z nimi coraz bardziej ludność ruska, zwłaszcza że krew tatarska już od w. XIII mieszała się ze słowiańską.

Upadała z każdym rokiem potęga tatarska. Łupieżcze ich zagony z powodzeniem odpierane były od granic Litwy i Polski, i wyzwolenie książąt ruskich z zależności od nich nie było rzeczą trudną. Lecz książęta ci, chciwi władzy, skłóceni ze sobą, sami dobrowolnie zacieśniali więzy swej niewoli, znosząc wszelkie poniżenia, biegając od ordy do ordy, byle tylko uzyskać „jarłyk“ na stolec książęcy. Nie było zbrodni, nie było nikczemności, jakiej by się ci książęta z rodu Rurykowiczów nie dopuścili, byle tylko uzyskać od swych tatarskich panów władzę. Uzyskawszy ją, uciskali w straszliwy sposób swych poddanych, byle tylko wycisnąć z nich największe sumy zarówno na opłatę daniny tatarom, jak i na własne potrzeby.

Nawet cerkiew prawosławna, skutkiem współzawodnictwa o władzę, poszła w niewolę tatarską. Skutkiem zabiegów metropolity Cyryla, każdy metropolita musiał być uznanym przez hana i składać mu hołd osobiście, wzamian czego otrzymywał jarłyk. Toż samo czynić musieli i biskupi.

(D. c. r.)



Z ŁOWÓW

BRUNO LILIEFORS



ŚLADY BITWY

ANDRÉ DAUCHEZ

PANI TJOLA ZBAWIA FINANSE

(HUMORESKA)

2)

Wchodziliśmy właśnie w podwoje Lourse'a, ułatwiło mi to gładkie przelknięcie ostatniego frazesu.

— Mój drogi panie, ja się ogromnie spieszę, więc zaraz idziemy. Niech pan nawet nie siada i nie stałuje, bo będę znowu musiała na pana czekać. Ja zaraz zatelefonuję i już idziemy ..

Ponieważ znam serca i obyczaje kobiet wogóle, a pani Tjoli w szczególności, przeto wyszukałem sobie zaciszny stolik, zamówiłem kawę i wzięłem się do gazet. Przeczytałem, nie spiesząc się „Kurjer Polski“ i „Gazetę Warszawską“, przerzuciłem „Robotnika“ i zabierałem się do „Świata“, gdy pani Tjola usiadła przy stoliku.

— Panie Sławie! Już idziemy. Prędko się zatłowiłam? Co? Tylko chwilę odpocznę. Niech mi pan obstałuje cokolwiek. Wszystko jedno co, ach, Boże. Coś z brzegu, no, choćby czarną kawę z kremem i babki śmietankowe... Albo nie, niech będzie lepiej biała kawa i babka..., a może lepiej czekoladę? Mój złociutki, proszę odwołać białą kawę, a obstałować czekoladę, tylko bez kremu, a za to ciastka z kremem... Choć wie pan co? Żeby nie robić kłopotu, niech już będzie biała kawa i babka... Obstałował pan? Szkoda! — mój panie, niech pan odszuka znowu kelnera; lepiej czekolada, ale z kremem. Boże, jaki pan nieporadny...

Odszukałem kelnera, odwołałem po raz trzeci, zdaje się, zamówienie i wróciłem, nie spiesząc się, do stolika.

— Odszukała pani adres?

— Boże, ile miałam kłopotu. Zaczęło się od tego, że pani Marji nie było w domu...

— Zdawało mi się, że to pani Ida...

— Wie pan, ciekawa jestem, kto rozgłosił plotkę, że pan jest inteligentny? Naturalnie, że Ida, ale przecież musiałam się dowiedzieć numer jej telefonu.

— O ile mi wiadomo, to pani Marja nie zna pani Idy.

— Więc cóż z tego. Rozumuje pan jak sędzia śledczy, chory na żółtaczkę. Od p. Marji mogłam się dowiedzieć telefonu pana Staszka, który wie, gdzie

urzęduje pan Leon, a on zaś... zresztą, co ja będę z panem długo rozmawiała, i tak pan nie zrozumie. Dość, że się omyliłam. Służący ldy nie ma brata. Trudno, pojedziemy do hafciarki. Niechże pan płaci prędzej, wie pan przecie, że się spieszę!... Co? już pan zapłacił? No, to idziemy, niech mi pan przyniesie pierwszej dwa czekoladowe ciastka z kremem i szklankę wody sodowej — tylko prędziutko, mój kochany...

Pani Tjola zamyśliła się poważnie. Kobiety które „myślą“ napawają mnie zawsze lękiem, robią na mnie wrażenie bociana, któryby chciał naprawdę dzieci nosić; z poglądem tym nie wydają się, oczywiście, a raczej wydają bardzo rzadko. Widząc zamyslenie pani Tjoli, poczułem chłód w krzyżach.

— Wie pani co, Tjolette, — próbowałem przeciwdziałać — może odłożymy naszą wyprawę... skoro pani zapomniała ..

— Ja nie zapomniałam — poprawiła mnie pani Tjola — ja nie pamiętam. Ja, gdybym pamiętała, to bym nie zapomniała. Ja nie mam takiej kurzej pamięci jak pan. Niech mi pan spróbuje chwilę nie przeszkadzać. Widzi pan, że myślę.

Zdrętwiałem. Sytuacja stała się beznadziejną. Kobieta, która uprzedza, że „myśli“, jest więcej, niż groźną, jest złowieszczą. Wyobraźcie sobie bombonierkę z masy perłowej, naładowaną pyroksyliną... nie, żadne porównanie, nie odmaluje grozy kobiety, która „myśli“. „Nerwy pękają z hałasem, serce trzepoce się bezsilnie i opada“, jak pisze znana mi, znakomita autorka.

— Widzi pan — zaczęła z namysłem pani Tjola — ja już tam raz byłam, więc dom i ulicę poznam... będziemy szukać.

— A poczem pani pozna — spytałem zbieletemi usty.

Pani Tjola spojrzała na mnie z litością i wzgardą.

— Niech się pan nie obawia. Skoro mówię, że poznam, to poznam. To taka... bardzo długa ulica... po obu stronach domy i jeden z dziwną bramą, ot taką...

Pani Tjola paluszkami prawej rączki wykonała jakiś nieokreślony ruch w powstrzu.

— A nie pamięta pani, czy ten dom, z taką bramą...



Pogrzeb ofiar mordu komunistycznego w Paryżu

- Pamiętam, był po mojej prawej ręce.
 — Czy kiedy pani jechała tam, czy z powrotem.
 — Co „tam“, czy „z powrotem“?
 — Ten dom. Z dużą bramą.
 — Co za dom znowu?
 — Dom, o którym pani mówi. Czy był po prawej stronie gdy pani jechała do hafciarki, czy od niej. Pani Tjola spróbowała się nie rozgniewać.
 — Pan jest dzisiaj wyjątkowo nierozgarnięty — rzekła słodko: Przecież to nie gra roli. Moja prawa ręka jest zawsze po tej samej stronie, a więc i dom też. Będziemy szukać. To zresztą nie trudno. Bo ja wiem jeszcze, iż to na Starym Mieście, albo w okolicach Alei Róż... A jeżeli nie tam, to już napewno na Pradze.
 W dorożce już, pani Tjola zapragnęła poważniejszej rozmowy.
 — Panie Sławie. Niech pan mu każe jechać prosto, a potem na prawo. Teraz Ministrem Skarbu jest Grabski. Prawda?
 — Prawda.
 — Czy on uratuje finanse?
 — Niewiem.
 — Rozmowny pan jest. Nie ma co. Inteligentny! I pana podobno chcieli zrobić ministrem. W sam raz na ministra.
 — Pani Tjolo!
 — Wiem, że jestem Tjolą. I to dobrą Tjolą. Mniej dobra rozstała by się z panem od dawna. Żadnej wyręki, a same kłopoty. Zatrzymał mnie pan u Loursa, a teraz się napewno spóźnię. I nic pan nie wie. Czemu wszystko drożeje?
 — Widzi Pani, zacząłem lękliwie...
 — Widzę, widzę, że pan znowu nie wie. A ja wiem. Drożeje, bo ceny rosną. Oo! Panie, ten minister, no, pan wie... Boże, co się z panem dzisiaj stało. Znowu pan nie wie. No, ten co się tak nazywał, jak moja służąca...
 — Jaka służąca?
 — No — ta — kiedy zapomniałam — ta od obiadu.
 — Od o-bia-du!...
 — O Boże — z tej udręki z Panem już sobie sama przypominałam. Kucharka. Kucharski! Czy on otrzymał pożyczkę? Bo podobno brak kapitałów.. Mój mąż zawsze mówi że nie ma pieniędzy. Nie pojmuję, na co on wydaje... Więc czy dostał?
 — Nie, pani, pożyczkę dostał Grabski.
 — No, nareszcie pan coś wiedział. No to trzeba pożyczyc znowu.
 — Cóż, kiedy nie dają.
 Pani Tjola poprawiła się na siedzeniu.
 — Widzi pan, jak nie dają pożyczki, to trzeba zastawić klejnoty koronne, dawniej tak zawsze robili. Sama czytałam.
 — No dobrze, a jeżeli klejnotów niema.
 Pani Tjola spojrzała na mnie już nie ze wzgardą, nie, — tam była litościwa, ale beznadziejna pogarda, pogarda bez granic.
 — Nie widziałam jeszcze człowieka tak nierozgarniętego jak pan. I pomyśleć tylko, że Pan mi się czas jakiś podobał, że byłam bliska... No, Bóg strzegł. Jak się klejnotów niema, to trzeba je kupić, a potem zastawić. Oo!

Władysław Ludwik Evert

PRZEGLĄD TEATRALNY

Dnia 8 maja 1925 roku obchodziliśmy 160 rocznicę założenia Teatru Królewskiego, oraz 150 rocznicę istnienia Teatru Narodowego w Warszawie.

Teatr polski przez długie lata niewoli był jedyne miejscem, gdzie rozbrzmiewało żywe słowo polskie. Wprawdzie cenzura rosyjska zostawiała w tym teatrze swoje ślady. Wtedy jeździliśmy do Krakowa, aby chłonać czar słowa i myśli z „Dziadów“ czy „Kordjana“ lub poddawać się urokowi „Wesela“.

Ale scena w Warszawie była nie tylko miejscem, gdzie podziwialiśmy kunszt aktorski. Przez półtora wieku była ona czemś więcej: bastjonem polskości. Przez scenę bowiem mówiliśmy światu o naszej odrębności narodowej i kulturalnej. Dla tej sceny pisali polscy pisarze, przez nią rozwinęła się nasza twórczość dramatyczna. Teatr podtrzymywał duchowy nurt życia polskiego. Był placówką. Redutą Ordona. Rozumieli to aktorzy, pisarze i — publiczność.

Kto pamięta, jaką rolę w życiu duchowym grali Ledóchowska, Halpertowa, Modrzejewska, Szymanowski, Żółkowski, Królikowski, Leszczyński, Rapacki i wielu innych, ten wie, czem była scena polska w okresie niewoli.

Scena polska... Dla niej przecież tworzyli Bogusławski, Zabłocki, Osieński, Feliński, Fredro, Słowacki, Korzeniowski, Narzyniecki, Bliziński, Bałucki, Przybyszewski, Rydel, Wyspiański... Kwiat naszego dramaturgii... Chlubna karta naszej literatury.

Istniały teatry w dawnej Polsce. Rozwijały się zwłaszcza teatry prywatne za panowania Stanisława Augusta. Grywano Marivaux, Germana Saint-Foix'a i Moljera. Grywano i autorów polskich: Bohomolca, Krasickiego... Najciekawszy z czasów Stanisławowskich był teatr w Puławach.

W dniu 8 maja 1765 roku z inicjatywy Stanisława Augusta powstaje w Warszawie Teatr Królewski, będący zaczątkiem pierwszej publicznej sceny narodowej. W dziesięć lat potem uchwała sejmowa nadaje księżętom Sułkowskim wyłączny przywilej utrzymywania w stolicy widowisk wszelkiego rodzaju. „Okres czasu z przed stu pięćdziesięciu laty, zamknięty schyłkiem roku 1774-go i początkiem następnego, należy uważać za dobę utwierdzenia się sceny ojczystej. Od tej przeto chwili datować można istnienie stałego teatru polskiego w Warszawie, który z czasem nazwie się Teatrem Narodowym“.

Dla uczczenia tej rocznicy odbyła się w teatrze miejskim p. t. „Teatr Narodowy“, w dniu 8 maja r. b., uroczysta reprezentacja, na którą złożyło się słowo wstępne, wypowiedziane przez Ludwika Bernackiego, fanfary układu Emila Młynarskiego i „Obiad czwartkowy“ obraz literacki L. Bernackiego i Tadeusza Czapełskiego. Poza tem odegrano uverture z „Nędzy uszczęśliwionej“, pierwszej opery polskiej Macieja Kamińskiego (1778).-uverture z „Agatki“; wiersz Orta „Bogusławski mówi“ wypowiedział p. Osterwa. Odegrano też komedję Adama ks. Czartoryskiego „Panna na wydaniu“ (1770), poczem na zakończenie poszedł „Sąd Parysa“ balet heroiczny z pantomimą.

W uroczystej reprezentacji udział wzięły najlepsze siły artystyczne. Reprezentacja w oprawie stylowej wypadła pięknie, jeżeli chodzi o—nastrój.

* * *

Teatr Narodowy wystawił 12 maja trzyaktową komedię „Spadkobiercy“ Adama Grzymały-Siedleckiego.

Jest to komedia obyczajowa, operująca środkami artystycznymi, zapożyczonymi od Fredry, Blizińskiego i Bóg wie skąd jeszcze.

Z tego powstał jakiś niezwykły aljaż sztucznie wykombinowany. Pozbawiony cechy najważniejszej—szczerzej naturalności.

Figury, występujące w tej sztuce, służą do wygłaszania sentencji moralnych lub społeczno-politycznych, oraz do wypowiedzania dowcipów, często bardzo dobrych.

Podstawa ideowa sztuki; czy reforma rolna ma być przeprowadzona na drodze ustawodawczej czy też z dobrej woli; a wogóle najlepiej „z polską szlachcią polski lud“.

Sztuka może mieć powodzenie. Zależy bowiem powodzenie bardzo często od tego, czy się sztuka podoba przeciętnej publiczności. Otóż klimat duchowy tej sztuki o temperaturze wody letniej przygotowany jest właśnie z dużym w tym kierunku uzdolnieniem. Zadowoloni najzupełniej gusta publiczności przeciętnej. Każdy utwór pisarza jest funkcją czytelnika. Psyche jego jest znana przez poznanie czytelnika jego książek lub słuchacza jego sztuk teatralnych. Rubakin powiada, że istniejąca treść utworu literackiego jest projekcją przeżyć czytelników. Dusza autora jest znana o tyle, o ile utwór jego działa na kogoś.

Widzowie na premierze składają się z dwóch rodzajów. Jeden rodzaj, to krytycy zawodowi, o których Bernard Shaw mówi, że „chodzenie do teatru jest dla nich klatwą Adamową. Złiem, które krytyk musi ścierpieć za zapłatę i w pocie czoła, jest sztuka“. Drugi rodzaj, to publiczność, która chce spędzić wieczór gdziekolwiek, byle nie w domu. Na „Spadkobiercy“ bawiłem się wybornie, zżymając się zarazem na tę lichotę artystyczną. Ci krytycy, którzy o sztuce wypowiedzieli swój sąd ostry, śmieli się niezgorzej wraz z całą widownią. Publiczność teatralna jest małym tłumem. Pan Grzymała-Siedlecki jest niepospolitym „Kuchmistrem“. Ma talent podania kiepskiej potrawy z odpowiednim garniturem, co ułatwiło konsumpcję. Swoim utworem autor wywoływał u publiczności akordy przeżyć psychicznych opartych na emocjach. Dlatego publiczność się śmiała. Ale przeciwko temu buntowały się nasze pojęcia i wiadomości. A więc krytycy naogół są niezadowoleni. Możliwe napisać rozprawę o społecznej i kulturalnej wartości utworów przeciętnych...

Co do aktorów — p. M. Frenkiel na scenie czuje się, jak u siebie w domu. P. Szymański mężnie wa'czył z dwoistością natury, którą autor Obierzyńskiemu narzucił. P. Ordon-Sosnowska miała dobre chwile naturalnego komizmu.

* * *

Zjawisko zadziwiające. Oto teatrzyk kabaretowy grał z rzędu 156 razy poprzedni program. Świadczy to nietylko o powodzeniu, ale i o wpływach ja-

kie może wywierać taki teatrzyk na publiczność. Istotnie, zakres wpływów takich teatrzyków jest bardzo szeroki. Słowo drukowane. A taki teatrzyk ma do rozporządzenia żart, dowcip, satyrę. Wszakże „Humpahumpa“ świadczy, że punkt ciężkości przeniesiono na... kształty kobiece. Nie jestem zwolennikiem ascetyzmu. Owszem, naga kobieta na scenie może być zjawiskiem artystycznym. Ale przecież to władze rosyjskie stosowały system: jaknajwięcej kobiet, a przestaną Polacy myśleć o polityce. Ponadto w dalszym ciągu „Qui pro Quo“ żyje twórczością obcą przeflanowaną na grunt warszawski i przybraną tylko w słowa polskie. I to począwszy od piosenki, a skończywszy na tańcu.

Czy to jest dobre? Wątpię. A na dalszą metę, sądzę, że nawet szkodliwe. Czy istotnie nie może powstać rodzima twórczość tego rodzaju. Teatr kabaretowy powstał w Paryżu. Ale właśnie rosyjski „Niebieski Ptak“ pokazał, jak w ramach teatru narodowego może różnie a jednak dobrze sztuka wyglądać.

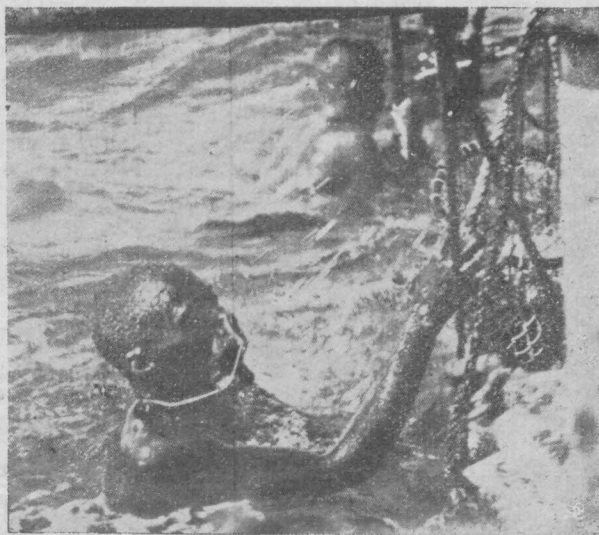
* * *

Teatr Bogusławskiego wystawił „Złoty płaszcz“ quasi chińskie widowisko autorów angielskich w przeróbcie A. Słonimskiego. Teatr Bogusławskiego miał spełniać rolę teatru ludowego. Wystawieniem tej sztuki dowiódł, że nie jest powołany do tej szczytnej roli. Niepotrzebnie bowiem marnował wysiłki artystów i czas, oraz pieniądze publiczności ciężko na chleb pracującej.

* * *

Przedstawienie w teatrze im. Bogusławskiego zostały zawieszono z powodu strajku aktorów na podłożu zatargu o płacę. Artyści zaś w komunikacie do prasy stwierdzają, że „repertuar teatru był układany w myśl osobistych, egoistycznie pojętych ambicji artystycznych kierownictwa...“.

Wł. W-t



Poławiacz pereł na Sumatrze

KRÓLOWA ULICY

Pani Żańcia czułaby się śmiertelnie obrażoną, gdyby ją kto nazwał w ten sposób. Cóż ona może mieć wspólnego z dziewczętami ulicznymi, lub z kumoszkami, rajcującymi po sklepikach i straganach? Jest przecież najcnotliwszą pod warszawskim słońcem matroną, najwierniejszą małżonką. Nie zdradziła nigdy swego pana i władcy inaczej, jak myślą; nie! raczej spojrzaniem, i to z kim? z bezimiennym przechodniem wielkomięjskim, któremu na imię: miljon. Dla niego to, dla tego „nieznanego żołnierza“ niezwykłej nigdy armii pani Żańcia obmyśla kapelusze, przymierza kostjumi, dobiera barwy kwiatów, wpiętych w kołnierz futra, zmienia pantofelki, komponuje desenie szali batikowych, naciąga z lubością na ślicznie modelowane nóżki przejrzystą pajęczynę jedwabnych pończoszek.

Achl te pończoszki! Gdyby nie one, życie pani Żańci byłoby różową idyllą. Bo pomyślcie sam! Mając kostki tak cienkie w przegubie i tak wyjątkowo utoczoną łydeczkę nie można przecież nosić innych pończoch, jak jedwabne, tembardziej, że tegoroczna moda skróciła suknie niemal do kolan. A te jedwabne pończoszki są takie drogie i tak nieobliczalne! Niewiadomo jak, gdzie i kiedy oczko puszczą. Dobrze, jeżeli w domu, ale nie daj Boże na ulicy! Trzeba zaraz brać dorożkę albo taxi, bo pani Żańcia jest skromna niewiasta i nie przywykła przed gawiedzią miejską świecić skrawczkiem nagiego ciała, choćby tak małym, jak rozluźnione oczko. Więc po powrocie do domu następuje szczegółowa inspekcja. Pani Żańcia zwleka ostrożnie cenne pajęczynki, nakłada stare, mocno rozklapane pantofle na bosc, nieco przez używanie zbyt ciasnego obuwia zdeformowane stopy, i całymi godzinami szydełkiem cierpliwie wyławia niewidzialnych zbiegów, niczem nurek perły z dna morskiego.

Świat się wówczas może zapaść, mąż zdradzić, dziecko zachorować, pokojówka zbić sewrski wazon, kucharka spalić pieczeń, — pani Żańcia jest niewzruszona jak glaz. Dopiero po ukończeniu benedyktyńskiej roboty daje upust długo hamowanemu temperamentowi. Mąż dowiaduje się wówczas poraz setny, że jest „niedołęgą“, dzieci „wyrodkami“, Marjanna „garnkotłukiem“ i „płatnym wrogiem“. Ta ostatnia przyjmuje wulkaniczne wybuchy swej pani z filozofją chłopską, twierdząc flegmatycznie: „Musi znowu wszystkie oczka u pani popuszczali, abo może się te jedwabne cholery ze szczętem podarli“.

Humor pani Żańci jest barometrem po którym domownicy poznają wysokość ciśnienia w atmosferze pończoszanej. Zjawienie się nowego typu pończoszki na wystawach sklepowych jest zawsze dla pani Żańci źródłem pokus i udręczeń zarówno moralnych, jak fizycznych. Długotrwałe migreny, uporczywa bezsenność, podkrążone oczy, brak apetytu, niepokojące dreszcze oto objawy, zwiastujące bliską katastrofę. Raz nawet pani Żańcia miała „kilka kresiek“, kiedy pojawiły się słynne pończoszki ze strzałkami. Temperatura „nie chciała spaść“, dopóki „notoryczny niedołęg“ nie okazał się domyślnym, przynosząc komplekcie sześciu par, za co został wynagrodzony dawno

wycofanym z obiegu małżeńskiego „najdroższym Janeczkiem“.

Pani Żańcia, cudownie uleczona, porwała się natychmiast z łoża boleści, jakby podrzucona niewidzialną sprężyną i odbyła forsowny spacer z Wilczej przez Aleje, Nowy-Świat, Krakowskie Przedmieście i z powrotem. Biedactwo! musiała przecież „pokazać“ swoje nowe pończochy.

Komu pokazać? Miastu. Ścisłej mówiąc — ulicy. Dla niej przecież i nią żyje. Gości nie znosi. Po kwadransowej wizycie zaczyna skandalicznie ziewać. Do teatru lubi chodzić tylko na premjery, a o ile ma nową suknię, trawi ją przez cały czas przedstawienia jedno pragnienie: żeby było jaknajwięcej antraktów, jaknajkrótsze odstony.

Zresztą poza codziennym obowiązkowym spacerem po najruchliwszych alejach miasta, pani Żańcia prowadzi żywot zgoła klasztorny. Jest zapobiegliwa, oszczędna, niemal skąpa. Je mało, żeby nie stracić linii. Cudów pomysłowości dokazuje, kiedy trzeba niespostrzeżenie uszczknąć na „własne wydatki“ jakąś sumkę z budżetu domowego. Masło śmietankowe zastępuje się wówczas „babskiem“, szynkę mortadela, zamiast kwaterki śmietany daje się do sałaty tylko półkwaterek, a mąż zamiast ulubionej mokki pije jakąś dziwną mieszaninę, mocno przypominającą rozrzedzony szufaks.

A chociaż nici tak sprytnie zadzierzgniętej intrygi są dla wszystkich widoczne, nikt nie śmie zaprotestować przeciw tym eksperymentom, jakim pani Żańcia poddaje żołądki swojej rodziny. Ona jedna ma złudzenia, że wszystko jest jaknajlepiej, i nawet do głowy nie zaświta jej myśl, że zjełczałe masło, podejrzana wędlna i podłe surogaty, jakimi karmi swoich blizkich, są czarnymi plamami na jej śnieżnym sumieniu, i że ukochane jej fatałaszkki są kupione za cenę zdrowia tych, którym one zupełnie do szczęścia nie są potrzebne.

Nie, ona żyje w krainie złudy. Każdy nowy kapelusz jest dla niej bajką, nowe okrycie „złotym płaszczem“, lakierki — pantofelkiem Kopciuszka, który prowadzi do królewskiego tronu. Barwna i lekka jak motyl, świecąca i żywa, jak iskra, wonna, jak kwiat, pani Żańcia wyfruwa na ulicę. Z rozkoszą wciąga w płuca kurz miejski i wzywy benzyny z automobilów, oczy pasie kalejdoskopem twarzy, kapeluszy i kostjumów, — chłonie chciwie naskókiem brutalne, jak dotknięcia, spojrzenia mężczyzn. Sama, nie zdając sobie z tego sprawy, pławi się z rozkoszą w zmysłowej atmosferze wielkiego miasta, jak w musującej kąpieli.

Czasem obejrzy się za zbytownie wystrojoną damą z półświatka i wzdycha... Jaka przepaść dzieli ją od tej kobiety, która napewno nigdy całymi godzinami nie łapie popuszczanych oczek w jedwabnej pończosce...

Stefanja Podhorska-Okotow

Być kochaną już jest czemś przedziwnie błogiem, choćby się wzajem nie kochało. Czem musi być wzajemna miłość? To nie dla ludzi, to pewnie istnieje tylko w imaginacji poetów.

Esteja

* * *

Wszchemocny Stwórca świata, znudzony ustawicznymi lamentami i narzekaniami, płynącymi z ziemi Polskiej, zdecydował się wreszcie uczynić im zadość i w tym celu, ażeby wysłuchać prośb wszystkich, zawezwał przed oblicze swoje przedstawicieli stronnictw sejmowych, uważając ich, zupełnie słusznie zresztą, za rzeczników całego narodu polskiego.

— Mówcie, czego potrzebuje Polska, a zadość uczynione wam będzie, — rzekł do nich krótko...

— O Boże Wszchemogący, — rozpoczął mówca ze skrajnej prawicy: daj Polsce króla, przywróć nam tytuły i przywileje, skręć łeb tej całej konstytucji, a zwłaszcza reformie rolnej, ażeby się to chamstwo tak nie panoszyło...

— Panie, — rzekł drugi, bardziej umiarkowany — wypłen z ziemi polskiej wszystkich żydów, masonów i innych socjalistów, oddaj władzę w nasze ręce, bo my tylko do rządzenia Polska jesteśmy stworzeni, my jedni tylko jesteśmy narodem... Spraw, by robotnicy 12 godzin pracowali, a chłopci wyrzekli się reformy rolnej.. Znieś wszelkie związki, gdyż to jest największa zakała i wymysł żydowski...

— My, o Panie, jesteśmy tylko stworzeni do rządzenia Polską, gdyż wszystko poczynamy z imieniem Twojem na ustach... W pokorze ducha błagamy, niech wypłenieni zostaną wszyscy przeciwnicy nasi, zwłaszcza ci, którzy pod pokrywką nauki niosą zgubne dla dusz herezje z zachodu...

— Panie... nas chłopów jest najwięcej... myśmy są twoje ukochane dzieci.. wytrać tych ciarachów miastowych... daj bogatym chłopom reformę rolną, niech mają jeszcze więcej ziemi i niech nie płacą żadnych podatków.. Daj nam tylko władzę nad Polską...

— Wytrać, o Boże, wszystkich chadeków i socjalistów, a wtedy nasza partja najliczniejszą będzie i ład w państwie zaprowadzi...

— O Panie, choć my tam czasami psioczmy przeciw Tobie, lecz pamiętaj, że drobnych gospodarzy i bezrolnych jest najwięcej.. Daj nam reformę rolną bez odszkodowania, a tych burżujów miejskich i piastowców wytrać co do nogi.. Szkół też nam nie potrzeba, gdyż to strata pieniędzy i mitręga.

— O Jehowo... my jesteśmy twój naród wybrany... nam się należą wszelkie prawa i przywileje, a obowiązki żadne... znieś dla nas podatki, i te urzędy do walki z lichwą, a gojów nie wytracaj, bo z kogo my byśmy żyli?...

— Panie, choć my tam w Ciebie nie wierzymy, ale wytrać do cna to burżujskie pokolenie, daj nam 6-cio godzinny dzień roboczy, daj nam stały, wielki ogólny strajk, niech wszędzie będą tylko związki i związki, niech one panują, i niech nikogo na całej ziemi polskiej nie pozostanie nad pepeesów.

— Wsja włast' sowietam... Daj ją nam, Panie, a my już taki porządek przeprowadzimy, że nawet nasi opiekunowie z Moskwy, nawet sam Lenin w piekle będzie zadowolony... My tu przy pomocy czrezwyczajki taki raj zrobimy, że tylko Ewa z Adamem pozostanie...

Słuchał Pan Bóg Wszchemogący tych wszystkich życzeń przedstawicieli narodu polskiego, aż

wreszcie w końcu spostrzegł stojącą z boku jakąś niepoczesną, wynędzniałą figurkę, zwrócił się więc do niej, i spytał:

— A ty co chcesz?...

— O Panie, — odrzekła figurka — jam jest w Polsce z urzędu rezerwoarem wszelkiego patryjotyzmu... Dla patryjotyzmu wyrzekłem się jedzenia i szat nowych, dla patryjotyzmu zabroniony mam wyjazd zagranicę, odpoczynek, kształcenie dzieci, chodzenie do teatru, czytanie książek i wiele, wiele innych rzeczy, które człowiekowi kulturalnemu przystoją...

— Ktoś jest? — spytał Pan Bóg...

— Urzędnik państwowy, — odrzekła wstydliwie figurka...

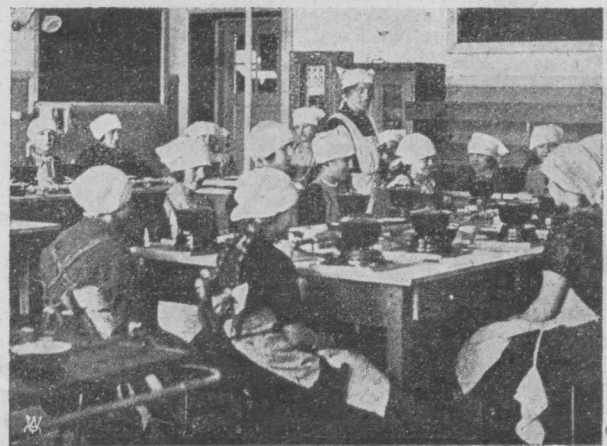
Zamyślił się Pan Bóg na chwilę, wreszcie rzekł:

— Wracajcie z powrotem na ziemię... Z takim bałaganem, jakimi są życzenia wasze, nawet i ja nic poradzić nie mogę... A ty, — zwrócił się do urzędnika: bądź i nadal cierpiętnikiem Polski i choć oficjalnie, z musu i nakazu reprezentuj patryjotyzm, o którym ci przedstawiciele narodu zapomnieli.

E. J. K.



Śpiewacy operowi dla radjo-telefonu



Wykład kucharstwa w szkole powszechnej żeńskiej w Danji

GARŚĆ WSPOMNIENI Z WYCIEZKI DO SZWECJI I LAPONJI

Następnego dnia pojechaliśmy koleją do Stockholmu. Jest to jedno z najpiękniejszych miast, jakie zdarzyło się mi się widzieć. Sądzę, że trafnie nazwano je „Wenecją północy“. Kiedy zobaczyliśmy Stockholm po raz pierwszy — a było to około godziny 10-ej wieczorem — zrobił na nas wrażenie jakiegoś miasta z bajki. Zbudowany jest na wyspach, połączonych licznymi mostami. W środku miasta znajduje się pałac królewski a naprzeciwko niego oddzielony tylko wązkim kanałem stoi Grand Hotel, w którym zamieszkaliśmy. Kiedy znalazłem się w swoim pokoju mimowoli zawołałem: „O ile mi się zdaje, jedyna różnica pomiędzy mną a królem szwedzkim jest ta, że on mieszka po jednej stronie wody, a ja po drugiej!“.

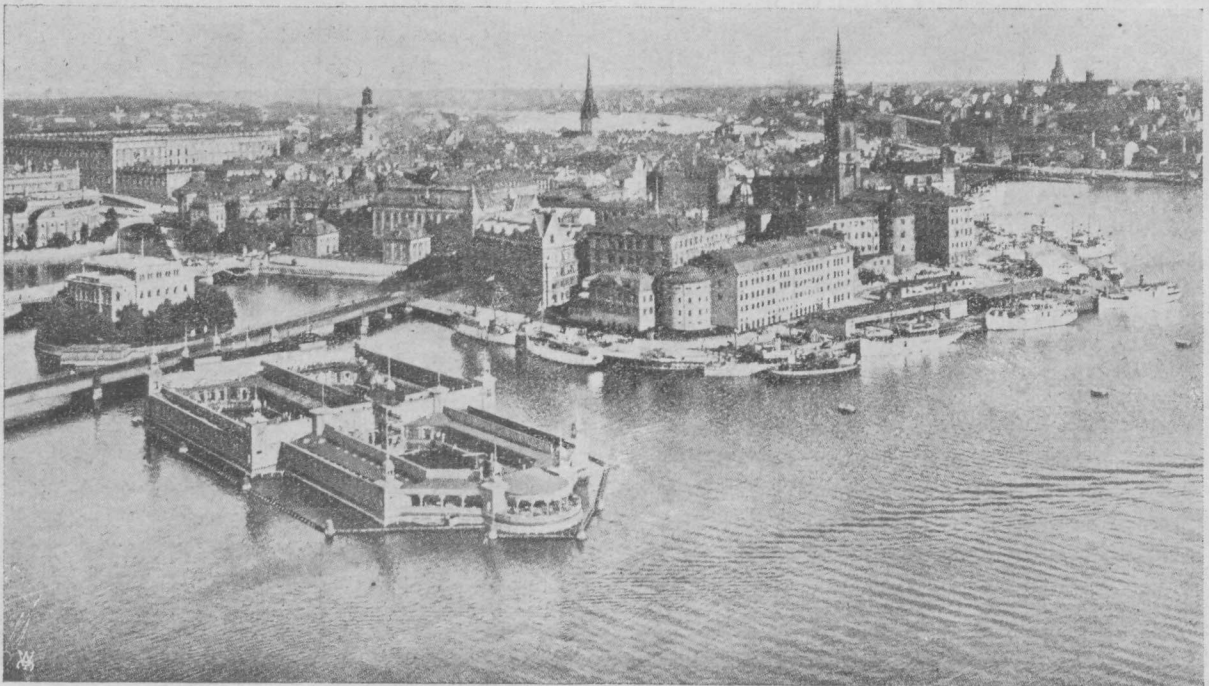
Przy wejściu do hotelu szereg gentleman'ów o arystokratycznym wyglądem, przybranych w wykwiłtne fraki, wita podróżnego podaniem ręki i niskim ukłonem. Przyjęcie to wprowadza przybysza w miły nastrój i sprawia, że czuje się niezwykle dystyngowanym.

Przed opuszczeniem Szwecji uczyniłem odkrycie niemniej interesujące niż „smörgasbord“. Miałem w hotelu pokój z łazienką. Pewnego ranka około godziny 8-ej zadzwoniłem o kąpiel. Pokojowa odpowiedziała mi, że „będzie gotowa o 8¹/₂“. Czekałem tedy cierpliwie do 8¹/₂, poczem udałem się do łazienki. Zastałem tam hożą dziewczoję, zaopatrzoną w duży ręcznik, kawałek mydła i trzy szczotki. W wyrazie twarzy tej młodej osoby widoczną była stanowczość i gotowość do pracy. Wahałem się w oczekiwaniu, kiedy pozostawi mnie samego — o ile jednak mogłem wnioskować z jej zachowania, nie

miała ona bynajmniej tego zamiaru. Moje wspomnienia, dotyczące kąpeli pod nadzorem niewieści, sięgają tych odległych czasów, kiedy wchodziłem do małej wanienki w towarzystwie porcelanowych piesków i lalek i poddawałem się niezbyt chętnie energicznym rękom mojej mamy. To też tym razem usiłowałem protestować, ale bez skutku. Wskoczyłem tedy do wanny, a hoża dziewczoja wyszorowała mnie i natarła z niesłychaną energją i dopiero po staranem otuleniu mnie płaszczem kąpielowym, ukłoniła się grzecznie i wyszła.

Sądziłem, że ten rodzaj kąpeli jest ostatnim wyrazem komfortu w tej dziedzinie, ale moi przyjaciele Szwedzcy namówili mnie do spróbowania jeszcze kąpeli w łazienkach publicznych. Zapłaciłem 50 öre, i otrzymałem kawałek płótna, z którym nie wiedziałem co robić. Nie chciałem jednak zdradzić się ze swoją nieświadomością i poszedłem naprzód. Znalazłem się w dużym budynku, po którym kręciło się mnóstwo służby żeńskiej. Wszystkie te dziewczęta witały mnie uprzejmym ukłonem, aż wreszcie jedna zaprowadziła mnie do pokoiku bez drzwi, w którym miałem się rozebrać. Marzyłem o kostjumie kąpielowym, a przynajmniej o ręczniku — ale daremnie. Zdobyłem się wreszcie na odwagę i wyszedłem. Wskazano mi drzwi, które otworzyłem i znalazłem się w obszernym pokoju o bardzo wysokiej temperaturze. Wzdłuż ścian stały drewniane stołki, ustawione amfiteatralnie. Siedziało tam kilkunastu mężczyzn różnego wieku i rozmiarów. Usiadłem i ja na ofiarowanym mi kawałku płótna i rozkoszowałem się gorącem. Co parę minut przechodzi się na wyższy stopień, a kiedy człowiek ma wrażenie, że topnieje z gorąca — idzie pod prysznic.

(D. c. n.)



Stockholm — „Wenecja północy“. To piękne, wschodnie kosmopolityczne miasto leży nad dopływem jeziora Mälaren do morza Bałtyckiego i zbudowane jest na wyspach

Z WYCIEZKI DO RUMUNJI

10 kwietnia

Dzisiaj rano udajemy się do Sinai (rezydencji letniej króla rumuńskiego), gdzie na dworcu wita nas miejscowy komitet przyjęcia. Sinaia przypomina nasze Zakopane. Urządzenia kąpielowe wzorowe. Zwiedzamy zamek królewski, położony na wzgórzu w pięknym parku. Bankiet — przemówienia owacyjne. Odpowiadają na nie przeł. Jadwiga Michałowska i dyr. Wacław Davison. Wieczorem — w drogę do Cluj (Kolozswar).

11 kwietnia

Jesteśmy w Cluj. Na dworcu tłumi publiczności: okrzyki „Niech żyje Polska!“. Idziemy w pochodzie przez miasto: na przodzie drużyna skautów rumuńskich, którzy odtąd opiekują się nami, oprowadzając nas wszędzie. Idziemy do kwater — mieszkań prywatnych (dyrektorów szkół i profesorów). Większości z nas, a również i mnie oraz przyjacielowi mojemu Józiovi przypada mieszkanie u przemiłej i nad wyraz gościnnej p. przeł. Joanny Gabor (seminarjum nauczycielskie) Gmach b. ładny na zacisznej bocznej ulicy Gen. Bertheltda. Chwila odpoczynku, upra-



Cluj. Damy rumuńskie w strojach narodowych

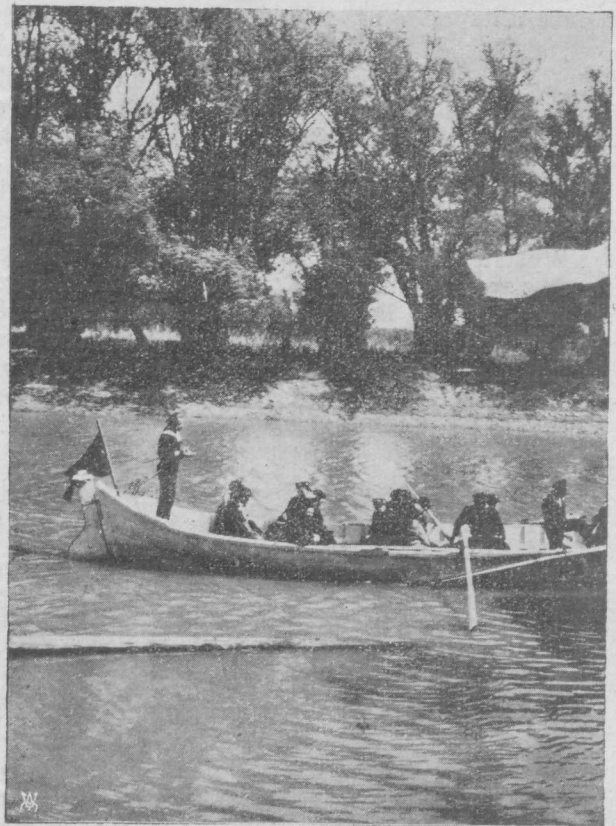
gnionego od dawna, a potem wystawny obiad, którym podejmuje nas przeł. Gabor. Po południu zwiedzanie miasta i wycieczka na górę zwaną zamkową, skąd piękny widok na całe miasto i okolice. Wieczorem festival w teatrze miejscowym (popisy młodzieży naszej, przyjmowane entuzjastycznie).

Zygmunt Stankiewicz

(D. c. n.)



S i n a i a



Kanał „Filipoi“ (Dunaj) przejażdżka łodziami na „majówkę“

ZÓLTE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Będąc chłopcem, czytałem fantastyczną i zajmującą książkę, bodaj Piotra Maëla, o wojnie podmorskiej i powietrznej. Zachwycałem się i przejmowałem wymyślonemi z fantazji pisarza bitwami przerażającymi i doprawdy niezwykłymi. Wszakże nie sądziłem, że danem mi będzie doczekać walk napowietrznych i podmorskich, które w obecnej wojnie pod względem niezwykłości bynajmniej nie ustępowały tworum wyobraźni pisarskiej.

Gdy Wiktor Hugo wydał „Pracowników Morza“, opisy wnętrza morskiego przedstawione w tej ciekawej książce uważane były za piękny, ale fantastyczny wytwór fantazji, zresztą niesłuchanie bogatej, pisarza francuskiego. Niewierzono w możliwość tego, co opisał Hugo.

Czas mijał, postęp wiedzy ludzkiej szedł naprzód. Wynaleziono kinematograf. I oto klisza kinematograficzna sięgnęła tam, dokąd oko ludzkie nie mogło zajrzeć. Na ekranie możemy obecnie obserwować to, co mocą swej genialnej, twórczej fantazji widział Wiktor Hugo. Obdarzony był ten wielki twórca okiem ducha, którem widział to, czego zwyczajni śmiertelnicy dojrzeć nie byli w stanie i czego najprawdopodobniej sami bez pomocy przyrządów technicznych nigdy nie zobaczą.

Takie „oko ducha“ czyli intuicja, którą posiadają niektórzy pisarze płata figle niekiedy zabawne. Sprawdza się bowiem to, co mówi pisarz, a czemu współcześni wiary dać nie mogą. Ale intuicję pisarską rehabilituje dopiero — potomność.

Do pisarzy obdarzonych zmysłem intuicyjnym należy Stefan Barszczewski. Wyrósł z dziennikarstwa. Ale jest to już dziennikarz na miarę europejską. Przed dwudziestu paru laty czytelnicy prasy warszawskiej znajdowali jego niezmiernie ciekawe korespondencje z Ameryki, drukowane w „Kurjerze Warszawskim“. Barszczewski szedł z prądem czasu.

Wystawa urządzona za Atlantykiem i korespondencje z niej Ludwika Krzywickiego, zamieszczone w „Prawdzie“ i o ile się nie mylę w „Gazecie Polskiej“ zwróciły czujną uwagę Stefana Barszczewskiego. Pojechał tam. Zaczął studjować Amerykę. Wyniki swych studjów dawał w postaci barwnych feljetonów czytelnikom gazet. Barszczewski posiada bardzo wysubtelny nerw aktualności. Odrycia Steinacha pobudziły go do napisania powieści o „Eliksirze doktora Bohusza“ odmładzającym ludzi. Nie ujdzie jego uwagi żaden objaw życia współczesnego. A najmocniejszy ton symfonji nadaje życiu dzisiejszemu bezsprzecznie technika. Jak słusznie zauważa uczone niemiecki Eberhard Zschimmer, technika zmienia kulturalny obraz świata. Tedy Barszczewski śledzi bez przerwy za temi z nianami. Jest on najbardziej au courant w zakresie wszystkich zdobyczy techniki nowoczesnej. W prasie polskiej niema konkurenta. Oto naprzykład dnia 12 maja r. b. rozpoczął drukować w „Kurjerze Warszawskim“ cykl zdobyczy arenautycznych p. t. „Powietrznymi szlakami“. Zdaje sobie bowiem sprawę, czym jest lotnictwo i jaką odegra w przyszłości rolę. Napisał też zajmującą powieść z niedalekiej przyszłości „W osiem dni dokoła świata“.

Również cała prawie akcja jego powieści z XXII wieku, która niedawno opuściła prasę p. t. „Czandu“ (Gebethner i Wolf, 1925) odbywa się w powietrzu.

Klaudjusz Farrère maluje nam w swych powieściach egzotyzm chiński. Kraj to mało znany. W gruncie rzeczy Europejczycy znają Chiny powierzchownie. Dusza chińska, dusza wschodu mało jest dostępna. I nie wiele znana Wiadomem jest, że Chińczycy rozmnażają się z przerażającą szybkością. Geopolitycy przepowiadają, że przyszłość świata należy będzie do Ameryki, Chin i Rosji. Ale w tym tryumwiracie Chińczycy — to inna rasa. Inny świat. Zgoła odrębna kultura. Oddawna przepowiadano groźące niebezpieczeństwo żółte. Ekspansja Chin, uzupełniona hasłem „Azja dla Azjatów“, które doprowadzi do hasła „świat dla Azjatów“ może być groźne dla Europy. Zwłaszcza, jeśli Azjaci wykorzystają wszystkie zdobycze techniki współczesnej.

Barszczewski na tle wątku powieściowego snuje w „Czandu“ swe myśli dotyczące zatargu Europy z Azją w najbliższej przyszłości. W szeregu feljetonów, które utworzyły powieść fantastyczną przedstawił nam Barszczewski obraz przyszłego zatargu wyimaginowany, tem nie mniej pełen prawdopodobieństwa. Akcja toczy się z kinematograficzną szybkością. Chwilami autor potrafi wywołać napięcie dramatyczne niczem najzdolniejszy reżyser kinowy.

Książka jest tembardziej interesująca, że autor potrafił umiejętnie na kanwie powieściowej snuć zdobycze techniki oraz bardzo zręcznie zastosował dalsze tych zdobyczy możliwości, zresztą nigdzie nie opuszczając gruntu prawdopodobieństwa. W następnych wydaniach powieść zyskałaby na usunięciu różnych drobiazgów wyliczeniowych z zakresu techniki. Czytelnik bowiem pragnie syntezy, płynącej z przemyślenia pisarza.

„Czandu“ dzięki swej fabule może dać chwilę miłej rozrywki umysłowej. Zarazem zniewala do zastanowienia się nad wieloma sprawami z zakresu politycznego zorganizowania społeczeństw. Każe myśleć o przyszłości Polski, o przyszłości Europy. Pamiętajmy przytem, że intuicja pisarza lepiej przewiduje przyszłość, niż nam się zdaje. Pamiętajmy o żółtem niebezpieczeństwie.

Lektor



POWRÓT

BRUNO LILJEFORS

NASZE BOLĄCZKI

W masowo rozrzucanych odezwach, prowodyrzy związku zawodowego robotników rolnych ogłaszają, że strajk rolny, zakończony przegraną w kwietniu, nie został zlikwidowany, lecz tylko odroczony do czasu żniw. Zapowiedź ta nie jest pustym słowem, zawiera ona w sobie groźbę przerwania prac w czasie najgorętszym, w czasie żniw, kiedy od jednego dnia nieraz zależy powodzenie zbiorów, kiedy zwłoka parodniowa decyduje nieraz o kłesce, o nieurodzaju, o braku zboża i chleba właśnie dla tych najbiedniejszych, w których obronie tak hucznie stają kierownicy organizacji związków zawodowych.

Na tą zapowiedź winien zwrócić uwagę rząd, winno zwrócić uwagę społeczeństwo, gdyż godzi ona w najżywotniejsze interesy państwa, grozi nowym zamętem gospodarczym i kłeską.

Odpowiednie czynniki winny dołożyć wszelkich starań, ażeby tylko do tego nie dopuścić.

* * *

Upadł teatr Bogusławskiego, przestało istnieć ognisko prawdziwej sztuki, dalekie od schlebiania zamówionemu tłumowi. Winno temu jest społeczeństwo, które nie umiało poprzeć usiłowań kierownictwa, winne jest i kierownictwo, które pojęcie teatru popularnego rozszerzyło aż do eksperymentów i wystawiania sztuk, niejednokrotnie dla szerokich mas niezrozumiałych.

Szkoda świetnej placówki, szkoda wysiłków.



Czarownicy w Zachodniej Afryce w strojach obrzędowych

Wogóle jednak przyznać należy, że z teatrami naszymi coś złego dzieć się poczyna. Czy jest ich nadmiar, i brakować im poczyna publiczność, czy też poprostu publiczność ta niema pieniędzy, ażeby mógł uczęszczać do teatru.

Zagadnieniem tem winny zająć się dyrekcje teatrów i znaleźć wyjście z tej trudnej sytuacji.

Charakterystycznym przytem jest, a jednocześnie i dodatnim objawem, fakt, że farsa lekka słabą cieszy się frekwencją, tak że istnieje projekt zamknięcia teatru Letniego, natomiast sztuki wystawiane przez teatr Narodowy niebywale wprost mają powodzenie.

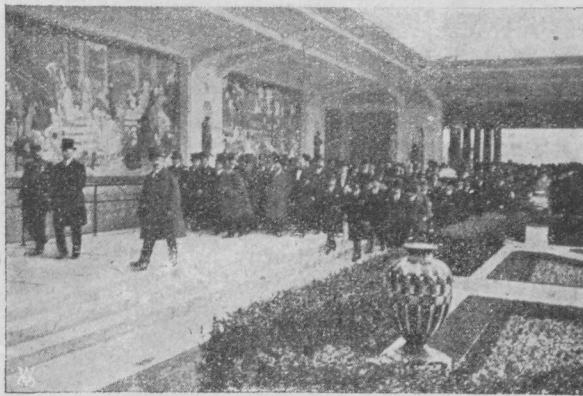
Drugim objawem charakterystycznym jest to, iż teatr w Łodzi, ażeby zdobyć sobie powodzenie materialne, uciec się musiał do wystawienia bombastycznego sztuczki żydowskiego „Dybuk”. Toż samo zamierza uczynić i teatr „Szkarłatna Maska”, który przy założeniu swoim głosił hasła wysoce artystyczne.

Czyżby zatem teatry nasze byt swój musiały opierać na publiczności żydowskiej i przez schlebianie im zdobywały powodzenie materialne?

Były to objaw nader smutny, wystawiający niezbyt pochlebne świadectwo publiczności polskiej, nie umiejącej utrzymać własnych przybytków sztuki.



Otwarcie przez „prezydenta” Doumergue wystawy sztuki [dekoracyjnej] w Paryżu



Otwarcie wystawy sztuki dekoracyjnej w Paryżu

Z TYGODNIA

W bezkrwawej walce, toczącej się między Polską a Niemcami z powodu katastrofy kolejowej pod Starogardem, Niemcy poniosły porażkę. Specjalnie wybrany sąd orzekł, że w tym wypadku rząd polski żadnej nie ponosi winy, że tor kolejowy utrzymywany był wzorowo. W ten sposób położony został kres niebezpiecznej agitacji niemieckiej w sprawie korytarza pomorskiego.

Drugim zwycięstwem Polski na terenie międzynarodowym w walce z Niemcami, jest orzeczenie trybunału w Haadze, przyznające Polsce wszelkie uprawnienia do utrzymywania poczty polskiej w Gdańsku.

W ten sposób zakończony wreszcie zostanie tak głośny w swoim czasie zatarg o skrzynki pocztowe.

Dołączywszy do tego ostateczne przyjęcie przez sejm budżetu, oraz przyjęcie tezy polskiej na konferencji rozbrojeniowej w Genewie, przyznać należy, że tydzień ubiegły był dla Polski pomyślny.

Natomiast nasi najbliżsi sąsiedzi, Sowiety, zbyt wielkimi tryumfami poszczycić się nie mogą.

Zabiegi ich o pozyskanie pożyczki we Francji spełzły na niczem, gdyż nikt jakoś do nich niema zaufania. W Anglii rozpoczęła się zacięta przeciwko nim kampanja, zawieszono im dziennik, zamknięto księgarnię.

Wielkie wrażenie też wywarła wieść o śmierci rzekomo samobójczej Borysa Sawinkowa, którego przejście na stronę bolszewików wywołało przed rokiem wielką wrzawę. Według pewnych informacji Sawinkow wyrzucony został przez czekistów z okna na 5 piętrze.

Z innych wiadomości zanotować należy:

Hindenburg złożył przysięgę na ręce prezydenta reichstagu, przyczem przyrzekł strzec bacznie konstytucji i bronić praw republik. Co na to powie patron jego, ex-kaiser Wilhelm II w Doorn?

Plany nowego francuskiego ministra skarbu, Caillaux, zmierzające do uzdrowienia zachwianych finansów, przyjęte zostały przez opinię przychylnie.

Na cześć Władysława Reymonta, bawiącego w Paryżu, odbył się szereg bankietów, zorganizowanych przez elitę umysłową Francji.

Niemcy rozpoczęli sondowanie opinii w sprawie przyłączenia Austrii do Niemiec w zamian za zagwarantowanie granicy wschodniej.

W Maroku armja francuzka odniosła szereg świetnych zwycięstw nad Kabylami, przyczem stwierdzono, iż tymi ostatnimi dowodzą oficerowie niemieccy.

W Jugosławji odkryto przygotowania komunistyczne do zamachu na króla i ministrów, przyczem stwierdzono, iż czynny udział w tych przygotowaniach brała Rosja Sowiecka.

Król bułgarski, Borys, ułaskawił skazanych na śmierć zamachowców w Sofji.

W Niemczech, w Dortmundzie, nastąpiła znów katastrofa w kopalni węgla. Liczba ofiar jeszcze nie stwierdzona, przekracza jednak 200 ludzi.

Podał się do dymisji minister przemysłu i han-

dlu, p. Józef Kiedroń. Na jego miejsce mianowany pan Cz. Klarnier, wice-minister skarbu, którego stanowisko zajmie p. Józef Karśnicki, prezes głównego urzędu likwidacyjnego.



Marszałek Foch dekoruje w dn. 26 kwietnia r. b. krzyżem wojennym francuzkim m. Louvain w Belgji



Manifestacja komunistek w Berlinie przeciwko wyborowi Hindenburga na prezydenta



Afrykańska policja Aszantów w pełnym uniformie

LAFADIO HEARN

13)

ROKURO-KUBI

— Ach, ten wędrowny mnich, który przyszedł do nas dziś wieczorem! — naraz przypomniała głowa arudji, przestając żuć: jaki on utuczony! Gdy zjemy jego, żołądki nasze będą napełnione.. Jaki byłem głupi, że tak z nim mówiłem! Teraz sam winien jestem, że dla zbawienia duszy mojej odmawia on teraz sutry! Dopóki zajęty jest tem, nie mogę go zaatakować. W czasie modlitwy nie można do niego podejść. Lecz ranek się zbliża, i on, być może, już zasnął... Niech ktokolwiek poleci do domu i popatrzy, co się tam dzieje...

Druga głowa, głowa młodej kobiety, uniosła się z miejsca i po ranęła do domu — lekko, jak nietoperz. W kilka chwil potem wróciła i głosem, ochrypłym z przerażenia, obwieściła:

— Kapłana w domu niema, — znikł! Lecz to jeszcze nie najstraszniejsze. Zabrał z sobą kadłub arudji, — i nie wiem, gdzie go ukrył.

Przy tych słowach oświetlona promieniami księżycy twarz arudji wykrzywiła się z przerażenia. Oczy nabrały strasznego wyrazu i zatrzymały się, włosy stanęły dęba, zęby zazgrzytały. Zakrzyczał, a w głosie jego drżały nuty wściekliwości.

— Jeżeli kadłub mój uniesiono, nie mogę więcej już z nim się połączyć. Muszę umrzeć!... I wszystkim temu winien jest mnich! Lecz przedtem, nim umrę, pomszczę się na nim! Rozszarpie go! Pożrę! Patrzcie-no, oto on! Ukrył się za krzakiem! Patrzcie na niego, spasionego tchórze!

I głowa arudji łącznie z czterema pozostałymi rzuciła się na Kwajrio, lecz kapłan-siłacz zdążył wyrwać z korzeniem młode drzewo i uzbrojony niem, począł odpierać ataki zbliżających się wrogów. Czworo uciekło, lecz głowa arudji nie przestawała w wścieklej rozpaczyci rzucać się na kapłana, choć on za każdym razem z siłą ją odpierał. Wreszcie, głowie udało się wpić zębami w lewy rękaw jego odzieży. Lecz Kwajrio schwytał głowę za czub i począł bić ją bezlitośnie. Głowa niewypuszczająca rękawa.

Naraz załośliwie jękała i przestała walczyć, — umarła. Lecz wciąż jeszcze wisiła przy rękawie, wczepiona zębami w niego, i Kwajrio, pomimo swej siły, nie mógł w żaden sposób otworzyć szczęk trupa.

Z wiszącą na rękawie głową wszedł do domu, gdzie pozostałe cztery Rokuro kubi, połączone znów z kadłubami, siedziały razem, przytulone do siebie, z okrwawionymi, rozbitymi głowami. Ujrawszy go, wszystkie w przerażeniu zerwały się i z krzykiem: „kapłan! kapłan!” uciekły przez otwarte drzwi do lasu.

Na wschodzie zapłonęła zorza i nastał ranek. Kwajrio wiedział, że władza złych duchów kończy się wraz z godzinami nocnymi. Obejrzał głowę, wiszącą na rękawie jego — była pokryta lepka ziemią, krwią i pianą. Kapłan roześmiał się głośno.

— Oto jest mijage*) — rzekł — głowa ducha nieczystego!

Zebrał swój ubogi dobytek i powoli zeszedł z góry, udając się w dalszą drogę.

Nie zatrzymując się nigdzie, doszedł do Suwy w Shinano. Tam uroczyście przeszedł przez główną ulicę, z zawieszoną przy rękawie głową. Kobiety na jego widok padały w omdleniu, dzieci piszczwały i uciekały. Zebrał się wielki tłum ludzi i powstał trudny do opisanego gwałt. Wkońcu wtrąciła się w całą sprawę torite (tak w owych czasach nazywano policję), schwytała kapłana i zaprowadziła go do więzienia. Wszyscy byli przekonani, że była to głowa zabitego człowieka, który w rozpaczliwej obronie wpił się zębami w rękaw zabójcy. Lecz Kwajrio tylko w milczeniu uśmiechał się na wszelkie zapytania. Noc spędził w więzieniu, a raniem poprowadzono go do naczelnika okręgu. Tam ostro nakazano mu wyjaśnić, jak to on, kapłan, ośmiela się spacerować z głową zabitego na rękawie, chwając się tak bezwstydnie i publicznie swoją zbrodnią.

Zamiast odpowiedzi Kwajrio roześmiał się głośno.

— Panowie — rzekł — jam nie przyczepiał tej głowy do rękawa, lecz ona sama, wbrew mej woli, przyczepiła się. I zbrodni nie popełniłem żadnej, gdyż nie jest to głowa ludzka, a głowa ducha nieczystego. Jeżeli byłem przyczyną śmierci jego, to bez przelewu krwi, a tylko sposobami ostrożności, koniecznymi dla samoobrony.



I szczegółowo opowiedział przygody swoje, roześmiewszy się znów głośno przy wspomnieniu o swoim spotkaniu z pięciu głowami.

Lecz sędziowie nie śmieli się. Myśleli, że przed nimi stoi zakamieniały przestępca i oburzało ich, że opowiada im rzeczy niebываłe.

(D. c. n.)

*) Podarek, jaki przywożą przyjacielom, lub domownikom, powracając z podróży. Zrozumiałe, że na mijage wybierają zwykle przedmioty wyrobu miejscowego, na co żartobliwie wskazywał Kwajrio.

LEW URWANCEW

J U T R O o Ś W I C I E...

CZEŚĆ PIERWSZA

Pomyłony

Pomodlić się... przedewszystkiem pomodlić się!
— Każdą sprawę, synaczku, rozpoczynaj od modlitwy.

To słowa mej nieboszczki matki. Nigdy ich nie zapominam. Matka często chodziła modlić się do soboru Nikoły Morskiego, tego co przy kanale Kriukowym. Kiedy byłem maleńki, często brała mnie ze sobą.

Zapragnąłem pójść natychmiast do tego soboru i ucałować ikonę Mikołaja Cudotwórcy.

Daleko... Lecz nic to! Tyle miesięcy szedłem do Petersburga. Jakies tam pięć, sześć wiorst — głupstwo! Nie spostrzegę, gdy dojdę.

Tylko ciemno. Jesz ze nie późno, a już ciemno. Między dniem a nocą opuszczona już ciemna zasłona. Latarnie nie płoną. Tak gdzie niedzicie rozrzucone jasne punkciki.

E... ech!.. Bywało ongi, w tym czasie Newski cały zalany światłem. I takim jaskrawem, że i o słoneczku zapominałeś. A teraz ciemno. Idziesz między domami, zupełnie jakbyś przedzierał się przez jakiś wąwóz.

Domy... domyl!.. Lecz czyż to te same domy, które się niegdys tu wznosiły?

Ludzie... idą ludzie! Lecz czyż to ci sami ludzie, którzy tu niegdys mieszkali?

Ani domów, ani ludzi nie rozpoznasz. Ciemnica jakaś! I ludzi mało. Czyżby wymarł Petersburg. Nie może być, ażeby tak wcześniej wszyscy szli spać? Trudno temu uwierzyć. Nie śpi. Cóż on robi?..

Ukrył się!

Zupełnie jakby schował się za jakąś tam szafę i powstrzymywał oddech. A sam trzęsie się. Szczekają ze strachu zęby. W strachu ludzie pochowali się, gdzie kto mógł, i trzęsą się. Boją się wysunąć nos przez okienko lub drzwi.

Piskorz! Czegóż to drzeć? Wszystko jedno, żebyście się nie wiem gdzie schowali, znajdą was. I wywloką na świat Boży.

Widziałem sceny, gdy szedłem do Petersburga. Byłem i w wielkich miastach, i w małych. Mieszkałem i po wsiach. Napatrzałem się nie mało.

Razu pewnego wpadli „oni“ do wsi. I przedewszystkiem zażądali, ażeby im popa przyprowadzono. A duchowny... staruszczyk... spokojny... do stodoły się schował. Chciała żona go ukryć, lecz nie udało się. Znaleźli.

Eh, mówią, pop, tyś nas przedtem zmuszał do kłaniania się, a nu, teraz ty sam się pokłoń. Lecz nie tak. A do ziemi, popia twoja broda. Rozplącz się. Na brzuchu kładź się. A i ręce wyciągnij naprzód.

Legł. I ręce naprzód wyciągnął. Wydobyli gwoździe. Ręce przybili do podłogi i ze śmiechem odeszli.

Znam ja „ich“. Napatrzałem się. „Oni“ to jak czad w pokoju. Przed czadem pod stół się nie schowasz.

Szedłem wolno. Nie spiesząc się. Przemknęło jeden za drugim kilka automobili. Jakby wieźli kogoś, jakby jechali rozstrzygać sprawy jakies.

Chciałem popatrzeć na domy i ludzi. Lecz wszystko jedno. Zdażę jeszcze napatrzeć się. Jak to „oni“ w Petersburgu i domy i ludzi przyozdobili? Trzeba będzie tu, napewno, długo mieszkać.

Sprawa moja wielka, skomplikowana. Ostatnia w mem życiu. Na śmierć idę!

I nie cofnę się. Tylko myśleć o niej tymczasem obawiam się.

Po tem, gdy „oni“ zbili mnie. Omal głowy kołbami nie rozmiażdżyli, zranili mi mózg. Ataki wy-czerpały mnie. A najgłówniejsze, począłem głośno mówić. Sam do siebie. A to niebezpieczne. Całą sprawę mogę zgubić. Zdecydowałem myśli swoje skoncentrować na jednym. Przedewszystkiem muszę odnaleść brata mego, Józefa.

Z tą myślą przyszedłem do Petersburga.

Panie błogosław!

Trotuarem iść było trudno. Ślisko. I płyty się chwieją. Zupełnie, jak po trzęsieniu ziemi. Z łatwością można w ciemności potknąć się i upaść.

Na Sadowej więcej ludzi, niż na Newskim. Idą wszyscy środkiem ulicy. Po szynach tramwajowych. To dowcipne. Lżej iść. Ludzie posuwają się powoli, milcząc.

Poszedłem razem z nimi.

Latarnia płonie. Zapomnieli o niej, czy co? Popatrzysz na nią, a potem odrazu stajesz się ślepy. Nie tylko, że domów nie widzisz, a nawet i palca przed swoim nosem. Nie prędko potem rozznasz cośkolwiek w ciemności.

Śnieg drobny, mokry. Ściemnia się. Lecz wiosny jeszcze nie czuć. Luty. Do wiosny jeszcze daleko. Chyba jeszcze mrozy będą. Petersburg w tym kierunku ma swoje kaprysy.

Mnie w mojej kapocie watowanej i sukiennym kołpaku ciepło. Obwiązałem się tak, że wilgoć i mróz nieprędko dotrą do mojego ciała.

Śmiech! Wesołe, młode głosy. Ot, jak dzwiecznie rozlegają się! Nawet dziwne. W tak ciemnej mogile i śmiech. Dzieci niczego się nie boją. Cóż one! Ich przeraża tylko strach. I to przed snem. A teraz wszystkie strachy uciekły z miast i wiossek. Wszystkich ich wygnali.

Akurat światło od latarni. Trzy dziewczynki. Podlotki. Ubrane niczego. Nawet dobrze. I twarzyczki różowe. Uśmiechnięte. Śmieją się z tego, że jedna z nich wpadła do kałuży, zamoczyła pantofelki. A pantofelki nowiutkie. Modne. Na wysokich obcasikach.

I ja uśmiechnąłem się na ich śmiech.

— Ech, jakież to smutne!

Omaj ze głośno nie powiedziałem. Odrazu podniosły swe główki. Spojrzały na mnie i parsknę-

ły śmiechem. Widocznie wydały się im już nader śmieszne moja kapota watowana, ściągnięta w pasie rzemieniem, i kółpak.

— Patrz... Pomylonyl..

Nawet paluszką wskazała na mnie. Popatrzały, i wszystkie z dzwicznym śmiechem przeszły obok.

Znów dostałem się w cień. Lud mimo wszystko zna porządek. Ze mną idą prawą stroną, a ci, którzy w kierunku Newskiego, lewą. Z nikim nie zetknąłem się. Tak tylko ktoś lekko rękawem zaczepli. Iść jeszcze jakoś można było. Równym krokiem. Z kijem, ma się rozumieć, lżej. Szczególnie obok targowiska Siennego.

O, co się tam działo. Nie daj Boże! Zdołałem się przyjrzeć. Jak po pożarze. Zupełna ruina. Kamień na kamieniu nie pozostał. Sterczą jakieś bezkształtne płyty. Poniewierają się cegły. To jeszcze nic. Pół biedy! Żelazo na drodze. Z dachów targowiska. Ostre, skręcone obłamki. Zupełnie jak żmije. Stąpisz nogą na koniec, a on obwija się wokoło nogi. Trzeba było patrzeć pod nogi. Kijem odrzucać.

Światło z domu. Z dolnego piętra. I światło ostre, silne. Pękiem promieni przecina ulicę.

Sam nie wiem czemu zainteresowałem się. Zeszedłem z szyn i przeszedłem na lewo. Na trotuar.

Sam nie wiem dlaczego wydało mi się to tak ciekawem. Tak... poprostu „tak“. Bez żadnego powodu. Możliwe, że dawno nie widziałem dobrze oświetlonego mieszkania.

Podszedłem. Zajrzałem przez okno. Dziwny Wielki pokój. Pod ścianą stół. Na nim strzępki papierów. I karteczki. Nierówne, oberwane, zupełnie jakby wyrwane z kajetu. Krzesła stoją rozrzucone. Dwa, trzy krzesła złamane. Leżą na podłodze. Wszędzie niedopałki papierosów. I ani jednej istoty ludzkiej. Znaczą się, byli i wyszli. Siedzieli za stołem i na krzesłach. Jak na posiedzeniu. Rozprawiali. Spierali się. Być może pobili się i połamali krzesła. O czymś tam rozmawiali i coś tam zdecydowali. Napisali jakiś tam dekret. Teraz według niego ludzie żyją. I odeszli. Drzwi zamknęli, a elektryczność zapomnieli zgasić. I, napewno, od dawna już w tym pokoju nie odbywają posiedzeń. Inny znaleźli. Lepszy. A elektryczności nic to nie obchodzi. Spełnia swą służbę akuratanie i sumiennie. Nie wyłączyli jej, więc pali się.

Popatrzałem w okno i uspokoiłem się. Poszedłem dalej, i zupełnie wypadkowo odwróciłem głowę na lewo. Jakby tak potrzeba było.

Potem już, po upływie dłuższego czasu, przypominałem sobie ten wypadek. Każdy szczegół rozważałem. Jak skręciłem z szyn do okna. Jak patrzyłem na oświetlony pokój i jakie myśli zaprzątały mnie w owej chwili. Jednego tylko nie mogłem przypomnieć. POCO odwróciłem głowę? Hałasu żadnego z tej strony słycać nie było. Kiedy przywykłem do ciemności, nie zauważyłem żadnego człowieka z tej strony. Ani na trotuarze, ani głębiej w zaułku, za narożnikiem domu. Byli ludzie, jecz szli środkiem ulicy, po szynach.

Przypomniałem sobie tylko jedno, lecz to jakby nie miało żadnego związku.

Pierwsze dni rewolucji. Na Sadowej tłum. Olbrzymi pochód po mieście z czerwonymi sztandarami. Nastroj u wszystkich niezwykły. Krzyczeli, radowali się, śpiewali, wymachiwali rękoma, kapeluszami, chustkami. Jeżeli się nie mylę, stałem wtedy w tłumie właśnie na tem miejscu. Lub gdzieś w pobliżu na rogu tego zaułka.

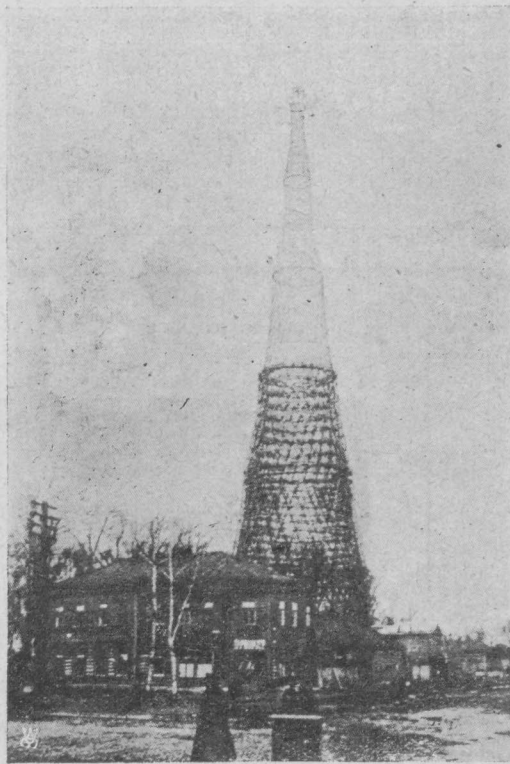
W pobliżu mnie znalazł się jakiś mieszczuch. Inaczej z wyglądu nie można go było nazwać, jak mieszczuchem. Rzadziutka bródka w klin, troszkę naprzód. Oczki wąziutkie, niedowidzące, przebiegłe, zjadliwe. Jak szparki, poza którymi ukryły się myśli. Usta także z szyderczym, jadowitym grymasem. I szpiczasty nos z czerwonym koniuszkiem.

Z początku mieszczuch długo i z zaciekawieniem patrzył na uroczysty pochód. Przyglądał się czerwonym chorągwiom i odczytywał napisy. Naraz oczka jego jeszcze bardziej zwężyły się. Nosek wysunął się naprzód, i nerwowym, charkotliwym i skrzypiącym głosem, rzekł:

— I, nic w tem niema dobrego... sama głupota...

Machnął ręką i znikł w tłumie. Poszedł do domu. Bardzo dobry był akcent jego i wtedy zwróciłem na to uwagę. Byłem pewny, że kiedy zasiadł do zwykłej swej pracy, właśnie o tej „głupocie“ i myślał.

(D. c. n.)



Olbrzymia stacja broadcastingowa w Moskwie, zbudowana specjalnie celem prowadzenia agitacji komunistycznej w całym świecie przy pomocy radjotelefonu

**ZAKŁAD CHIRURGICZNY
i GINEKOLOGICZNY
„O M E G A”
AL. JEROZOLIMSKIE 51, TEL. 30-83**

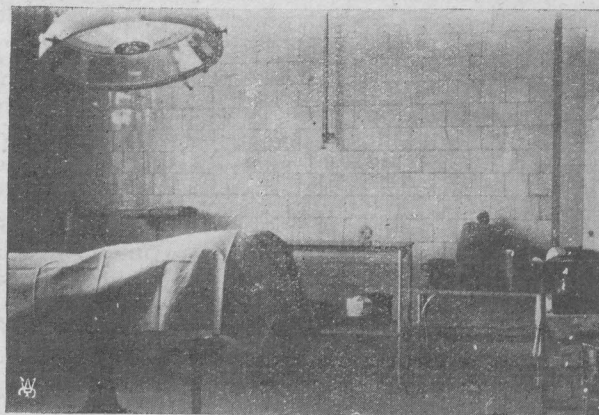
Wobec coraz bardziej wzmagających się wyjazdów na kurację zagranicę, musimy stwierdzić stanowczo, że i my posiadamy zakłady lecznicze, w ni-

czem nie ustępujące zagranicznym, postawione na pierwszorzędnej stopie, zaopatrzone we wszystko, co tylko nowoczesna nauka medyczna wynaleźć zdołała.

Takim właśnie jest zakład chirurgiczny i ginekologiczny „Omega” w Alejach Jerozolimskich № 51. Założony w r. 1902 przez 9 lekarzy pp. d rów: St. Anteckiego, St. Cykowskiego, St. Gurbskiego, J. Laskowskiego, pr. A. Leśniowskiego, Z. Sławińskiego, Wł. Smoniewskiego, A. Wertheima i W. Żurakowskiego, mieścił się początkowo przy ul. Boduena 5, w roku zaś 1910 przeniesiony został w Aleje Jerozolim-



Gabinet dla przyjęć chorych



Sala operacyjna z lampą scialitique



Front gmachu lecznicy

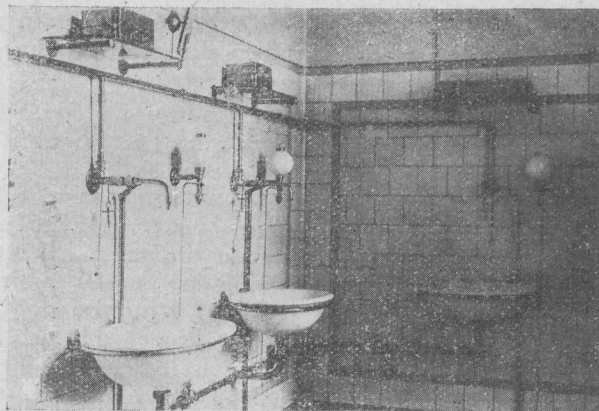
skie № 51, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu.

Urządzony podług ostatnich wymagań sztuki lekarskiej, a jednocześnie komfortowo, zakład „Omega” mieści 45 dużych pokoi dla chorych, 2 sale operacyjne, 3 pokoje opatrunkowe, po jednym na każdym piętrze, salę porodową, 5 pokoi dla położnic, czytelnię, jadalnię, 5 gabinetów dla przyjęcia chorych, pracownię dla analiz lekarskich i pracownię Roëntgena, obszerny holl i poczekalnię.

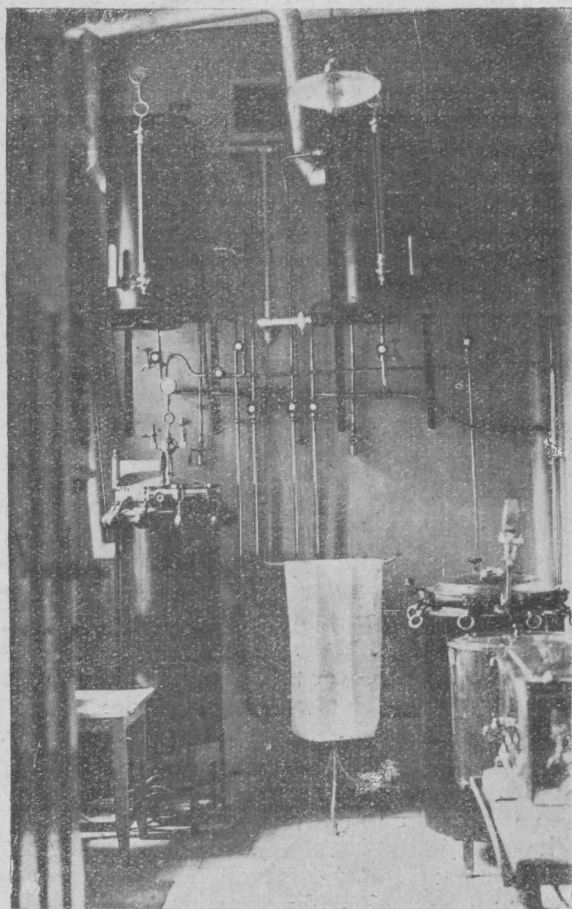
Oprócz lekarzy-współwłaścicieli w zakładzie ordynują stale prof. dr. Bron. Sawicki i Andrzej Ciechomski. Niezależnie od tego zakład przyjmuje chorych i innych lekarzy.



Pokój chorych



Umywa nie przy sali operacyjnej



Pokój sterylizacyjny

Chorzy przebywający w zakładzie, otoczeni są nader staranną opieką. Na każde 3 pokoje są 2 osoby personelu służbowego, prócz tego w zakładzie ordynuje stale, w dzień i w nocy 2 lekarzy, zamieszkałych przy zakładzie. Chorzy karmieni są indywidualnie, według przepisu lekarza ordynującego, przy czym kuchnia jest stale czynną, a produkty spożywcze w gatunku wyborowym.

Po zwiedzeniu zakładu leczniczego „Omega” każdy przyjdzie do przekonania, że nasze lecznictwo prywatne stoi na nader wysokim poziomie, i chory, który udaje się zagranicę, de facto traci, ale nigdy nic nie zyska. Zakład stara się być tylko warsztatem pracy. Dążeniem zakładu jest uprzystępnienie leczenia jaknajszerszym warstwom inteligencji i zadanie to spełnia jaknajściślej.

TOW. AKC. B-ci NOBEL

Od pewnego czasu w główniejszych punktach Warszawy, jak przy placu Napoleona, w Al. Jerozolimskich i innych powstają specjalnie zbudowane przez znaną firmę „B-ci Nobel” zbiorniki dla zaopatrywania bezpośrednio samochodów w benzynę. Podobną sie-

cią zbiorników, ułatwiających dostawę benzyny bezpośrednio od producenta do konsumenta, ma zamiar okryć całą Rzeczpospolitą T-wo „Braci Nobel”, posiadające własną kopalnię ropy w Zagłębiu Borysławskim, zbudowaną ostatnio według najnowszych zasad techniki rafinerję ropy w Libuszy (Zach. Małopolska), oraz 120 składów i oddziałów na całym terenie Rzeczpospolitej.

Tow. „B-ci Nobel” powstało w marcu r. 1920, przy czym założycielami jego są znani w świecie całym przemysłowcy naftowi szwedzcy, Emanuel i Gu-



Stacja benzynowa firmy B-cia Nobel

staw Noblowie, oraz Bank Związku Spółek Zarobkowych. Następnie kapitał akcyjny powiększony został przez przystąpienie w r. 1921 amerykańskiego Tow. Standart Oil Company.

Dyrekcję Tow. stanowią pp. Leigh Ballenberg (obywatel amerykański), Bogdan Skibiński i Alfred Lewandowski.

Ciekawą wielce jest produkcja ropy w całym świecie w stosunku do jednostki: Polska 7,8 klg., Anglja 94,5, Niemcy 13,15, Francja 26,6, Ameryka 100 kg.



Ameryka szykuje się do pokoju. Niszczenie tanków nieprzyjacielskich przy pomocy tajemniczych promieni



Suknia letnia z gazy

Z TEATRÓW ŚWIETLNYCH

WODEWIL: „Koło udręki“;
 STYLOWY: „Stolica grzechu i pokusy“ (Paryż).
 ROCOCO: „Vidocq“.

Tak się złożyło, że kilka kinematografów w światła filmy francuskie. Można więc zaobserwować dobrze typ filmu i sposób wykonania każdej wytwórni. Góruje film „Koło udręki“. Wyreżyserował go Abel Gance. Jako reżyser, jest Gance typem wizjona dramata. Umie przytem tak komponować obrazy, tak układa scenariusz, że pewne zespoły psychiczne narzuca widzowi, sugestjonuje. Film oparty jest na udręce trojga ludzi. Genjalność reżysera zdo-

łała uchwycić w koło udręki i widzów, którzy przeżywają ten dramat. Należy być parę razy na tym filmie, by zdać sobie sprawę z tego, jakimi sposobami Gance operuje, by zasugestjonować widza. Nowelista polski Grabiński w paru swych utworach bohaterem uczynił pociąg lub lokomotywę. I Gance wyzyskał ten motyw. Szyny kolejowe, pociągi, lokomotywy w tym filmie—grają. Niejednokrotnie w filmach amerykańskich widzi się przejeżdżające pociągi. Ale taki pociąg jest maszyną. Gance z pociągu zrobił istotę niesamowitą. W filmie tym występuje słynny aktor francuski Seweryn Mars, niezbyt sympatyczny, ale dużej miary aktor o bardzo subtelnym sposobie gry. Zgoła różna technika gry, niż u aktorów niemieckich!

„Stolica grzechu i pokusy“ jest filmem dobrze zrobionym; precyzyjne zdjęcia i bardzo ładne widoki Paryża. Jest to sztuka — dobrze sfilmować pewne partie miasta. Ulica ma swoją perspektywę i swoje optyczne wymagania. Szablonowe sfilmowanie ulicy często chybia celu.

Przy obserwowaniu gry głównej bohaterki tego filmu, nasuwa się pewna uwaga. Różne przejawy uczuć uzewnętrznione na jej twarzy sprawiają estetyczne wrażenie. Jest przerażona, rozpacza a jest ładna, nawet piękna. Podczas kiedy np. Madge Bellami (w „Białym grzechu“) choć jest ładna, ale w brzydki sposób uzewnętrznia swe uczucia. Uroda jej jest mar-twa. Film pochwyca tajemnice duszy.

Wyświetlany w Rococo „Vidocq“ zdradza naśladownictwo sposobów amerykańskich w technice reżyserkiej przy zachowaniu francuskiej metody zdjęć. Film ten ma duże błędy. Między następującymi po sobie scenami są luki. Mówiąc przesadnie, scenariusz często wygląda tak: scena I — A podnosi rękę na B; scena II — B już leży, ale niewidzieliśmy, jak został uderzony.

„Vidocq“ przypomina romanse kryminalne, które są najbardziej ciekawe przy końcu.

A—s.

„ROZRYWKI UMYSŁOWE“ pod redakcją K. Gilewicza.

Rozwiązanie
 szarady zamieszczonej w Nr. 12 (21)
 „Biesiady Literackiej“:

2. SZARADY

Żeromskiego: „Uciekła mi przepióreczka“..

Trafne rozwiązanie szarady (2) w terminie oznaczonym nadesłali: pp. Dorota Hebstmanówna, D. Holckener, Czesław Kozłowski i Zygmunt Tietz z Warszawy.

Nagrody pod postacią bezpłatnej kwartalnej prenumeraty „Biesiady Literackiej“, drogą losowania otrzymują: pp. D. Holckener i Zygmunt Tietz z Warszawy.

Przynane nagrody odebrać można w lokalu redakcji w godz. 6 — 7 po poł.

Kierownik literacki: Edmund Jezierski.

Redaktor i wydawca: Tadeusz Jaszczewski.

Kierownik literacki przyjmuje codziennie od godz. 6—7 po poł., w lokalu redakcji, Nowy-Świat 50.



30 franków dziennie

nawet bez porzucania swego za-
jęcia dostaną zawsze i wszyscy

PANOWIE i PANIE, energiczni i przedsiębiorczy,
za łatwą sprzedaż LOSÓW LOTERYJNYCH
(płatne miesięcznie)

Losy gwarantowane przez państwo Francuskie

Zajęcie miłe i zyskowe
Referencje wymagane

Pisać pod adresem:

„BANQUE PANAMA”

38, Rue Saint-Ferriol - MARSEILLE (France)



Woda Koloriska JSTE jest KORONĄ wszystkich wód koloriskich

1/2 butelki *zł 2,-*
1/4 butelka *• 2,75*
1/4 litr but. *• 4,50*
1/2 *• 7,50*

J. S. Stempniewicz POZNAŃ
WARSZAWA, KS. SKORUPKI 8 • RADOM, PIASKI 12

KW. KLEDEGG



W każdym domu Polskim winien się znajdować

„BUDŻET DOMOWY”

najlepsza książka rachunkowa do robienia OSZCZĘDNOŚCI.

*Zrównoważony budżet rodziny
jest podstawą równowagi: budżetu państwa*

Dr. G. Grah.

Szczegóły konkursu w książce.

Gena 1 złoty.

Nakład pierwszy wyczerpany w ciągu dwóch tygodni. Wydanie drugie do nabycia **wszędzie.**
SKŁAD GŁÓWNY: administracja „BIESIADY LITERACKIEJ”. Nowy Świat 50, tel. 291-60.

Olbrzymi konkurs z licznymi nagrodami w gotówce.

KUPUJCIE WSZYSCY!

Gimnazjum męskie

Wł. Gizyckiego

Warszawa, Puławska 113, tel. 22-99

(park Wierzbno)

Tramwaj Nr. 1 i 19. Przystanek w parku szkolnym

Szkoła kładzie szczególny nacisk
na wychowanie fizyczne młodzieży

Najlepsze źródła zakupów polecane przez „Biesiadę Literacką“

FILOTEA

czyli Droga do życia pobożnego

arcydzieło św. Franciszka Salezego

Wydanie eleganckie, drobnym drukiem, na pięknym papierze, w małym, zgrabnym formacie, oprawne w płótno angielskie, brzegi pasowe w cenie **zł. 7 i 50 gr.**, zaś z brzegami złożonemi, z futerałem **10 zł.**

do nabycia:

W KSIĘGARNI KATOLICKIEJ

Dra Wład. Miłkowskiego w Krakowie

Przesyłka jednego, dwóch, trzech lub czterech egz. kosztuje jednakowo **1 złoty.** Za zaliczką o 50 gr. drożej.

Jan Łakomski

Warszawa, ul. Marszałkowska 147.
Telefon 41-72.

SKŁAD

Porcelany, Szkła, Kryształów
oraz Wyrobów Terrakotowych

*** Duży wybór galanterji. ***

Pensjonat „DJETA”

WAKS & FRYDLAND

Otwock

Al. Kościuszki 8, ——— Tel. Nr. 19.

PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:

w Warszawie: Nowy-Świat 50 m. 4a tel. 291-60, konto czekowe w P. K. O. № 7494.

w Poznaniu: Krajowe Ubezpiec. Ogniowe, pl. Nowomiejski 8.
we Lwowie: Jagiellońska 7, tel. 305.

w Katowicach: Plebiscytowa 2, 1-sze piętro.

Filje „Biesiady Literackiej“: w Łodzi: Piotrkowska 85
i Ks. „Czytaj“ Narutowicza 2.

w Białymstoku: Sosnowa 61.

Prenumerata: rocznie 45 zł. półrocznie 23 zł., kwartalnie 12 zł.
zagranicą podwójnie.